



**CLIVE BARKER**

**POWRÓT Z PIEKŁA**

**PRZEŁOŻYŁ: PAWEŁ KWIATKOWSKI**

*Dla Mary*

*Chciałbym porozmawiać z duchem pradawnej kochanki*

*Zmarłej nim narodził się bóg miłości*

*John Donne „Bóstwo miłości”*

**ROZDZIAŁ PIERWSZY**

Frank tak bardzo zajęty był rozwiązywaniem zagadki, że nie usłyszał, kiedy zaczął bić dzwon. Kostka Lemarchanda była skonstruowana przez prawdziwego mistrza. Zagadka polegała na tym, że w żaden sposób nie można było dostać się do środka. Mówiono zaś Frankowi, że w środku kostki są cuda. Nie miał pojęcia, gdzie mogą być punkty nacisku na którejkolwiek z sześciu czarnych, lakierowanych ścian kostki. Wiedział tylko, że musi je wcisnąć, żeby zwolnić część tej trójwymiarowej laubzegi.

Frank widział już podobne zabawki; głównie w Hongkongu. Były to przedmioty w chińskim stylu: metafizyka wtłoczona w kawałek drewna. W tym jednak przypadku Francuz nadał chińskiemu geniuszowi technicznemu nowy wymiar. Był to pokaz perwersyjnej logiki, całkowicie własnego autorstwa. Jeśli istniał system rozpracowania kostki, nie udało się Frankowi go odkryć. Dopiero po kilku godzinach wypełnionych próbami i błędami, efekt przyniosło prawidłowe ułożenie kciuków, środkowego i małego palca. Ledwie słyszalny trzask i wreszcie - zwycięstwo! Segment kostki wysunął się spoza pozostałych części.

Frank dokonał zatem dwóch odkryć.

Po pierwsze stwierdził, że wewnętrzne powierzchnie są doskonale wypolerowane.

Zamazane, skrzywione odbicie twarzy Franka błyszczało na polakierowanej powierzchni.

Drugim odkryciem była następująca konstatacja: Lemarchand, mistrz w konstruowaniu pozytywek, tak zbudował kostkę, że otwarcie jej uruchamiało mechanizm muzyczny. Kostka zaczęła wybrzdękiwać króciutką, banalną melodyjkę.

Zachęcony swoim sukcesem, Frank ze zdwojoną energią pracował nad kostką. Szybko znalazł miejsce, gdzie w wyżłobienie zachodziła naoliwiona zatyczka. To naprowadziło go na kolejne zawile elementy konstrukcji kostki. Krok po kroku, Frank obracając następną cząstkę kostki lub ją przesuując - uruchamiał mechanizm odgrywający dalsze części muzycznej frazy. Kontrapunkt melodii rozwijał się, aż pierwotna linia melodyczna zagubiła się gdzieś w natłoku śpiewnych ozdobników.

W pewnej chwili dzwony zaczęły bić: monotennie i ponuro. Frank jednak ich nie słyszał, a w każdym razie nie zdawał sobie z tego sprawy. Gdy zabawka była już prawie całkowicie zdemontowana, lustrzane wnętrze kostki rozstało się, Frank zdał sobie sprawę, że żołądek podchodzi mu do gardła. Na dźwięk dzwonów.

Na chwilę oderwał się od pracy. Przypuszczał, że hałas dochodzi z ulicy, ale rychło oddalił to przypuszczenie. Zaczął pracować nad grającą kostką krótko przed północą. Od tego czasu minęło już kilka godzin. Frank nie postrzegł upływu czasu, ale nie potrafił nie wierzyć swojemu zegarkowi. Ale przecież w tym mieście nie było kościoła, w którym - bez względu na to, jak bardzo zdesperowani byłiby jego wierni - byłyby dzwony o tej porze.

Nie. Odgłos dochodził raczej z daleka. Przenikał przez niewidzialne drzwi. To właśnie do otwarcia tych drzwi posłużyć miała kostka Lemarchanda. Wszystko, co obiecał Kircher sprzedając Frankowi kostkę, było zgodne z prawdą.

Frank znalazł się na progu innego świata - na skraju prowincji nieskończenie oddalonej od pokoju, w którym sądził, że się znajduje.

Nieskończenie daleko, ale mimo wszystko - nagle - bardzo blisko.

Ta myśl sprawiła, że oddech Franka przyśpieszył gwałtownie. Przewidywał ten moment dokładnie; planował to swoiste „odsłonięcie kurtyny” każdą cząstką umysłu. Lada chwila tutaj będą. Ci, których Kircher nazywał Cenobitami. Teolodzy Obrządku Blizny, Wezwani oderwą się od swoich eksperymentów nad wyższymi stanami rozkoszy. Przybędą szcząc się swym wiekiem wobec tego świata upadku i błędu.

Pracował nieprzerwanie przez cały ubiegły tydzień, by przygotować dla nich odpowiednie miejsce. Gołe podłogi zostały solidnie wyszorowane i obsypane płatkami kwiatów. Na zachodniej ścianie przygotował dla nich coś w rodzaju ołtarza. Aby zjednać sobie ich sympatie, ozdobił go różnymi darami. Kircher zapewniał go, że dary te ułatwią im odprawienie nabożeństw. Były tam kości, czekoladki, igły... Na lewo od ołtarza stał dzban wypełniony moczem - efekt siedmiodniowych zbiorów Franka. Mógł być potrzebny w razie, gdyby wymagali jakiegoś spontanicznego gestu samozbezczeszczenia. Po prawej, za radą Kirchera, Frank umieścił talerz wypełniony głowami gołębic.

Dopatrzył każdej części rytuału inwokacji. Żaden z kardynałów, marzących o papieskiej tiarze, nie byłby w tym pilniejszy.

Ale teraz, gdy odgłos dzwonu przybrał na sile i całkiem zagłuszył pozytywkę, Frank zląkł się.

- Za późno - wyszeptał do siebie licząc, że w ten sposób zdławi rosnący strach.

Urządzenie Lemarchanda było jednak rozmontowane; ostatni układ przekręcony. Nie było już czasu, ani na wymówki, ani na żal. Poza tym, czyż nie po to ryzykował życiem i zdrowiem, żeby umożliwić sobie dokonanie tego odkrycia? Nawet teraz droga do przyjemności stała otworem dla garstki ludzi, którzy o tych rozkoszach wiedzieli. Którzy znali tajemnice przyjemności, jakie na nowo mogły określić granice tego, co dostępne jest zmysłom. Poprzez poznanie tych sekretów Frank chciał wyzwolić się z otaczającego go błędnego koła pożądania, uwodzenia i zawodu - a więc od tego wszystkiego, od czego nie potrafił się uwolnić od późnej młodości.

Gdyby posiadał tę wiedzę, jego życie byłoby całkiem inne. Przecież nikt chyba nie może pozostać taki sam po przeżyciu głębi takiego uczucia.

Goła żarówka zwisająca ze środka sufitu przygasła i zaraz potem pojaśniała. I jeszcze raz pojaśniała i przygasła. Jaśniała i przygasła teraz w rytm odgłosów dzwonów, za każdym uderzeniem żarząc się mocniej. Między uderzeniami w pokoju zapadały całkowite ciemności.

Tak, jakby świat, w którym egzystował przez dwadzieścia dziewięć lat, przestał istnieć. A potem dzwon odezwał się znowu. Żarówka jaśniała światłem tak silnym, że wydawało się nie do pomyślenia, by kiedykolwiek zamigotała. I przez kilka cennych sekund Frank znów stał w znajomym miejscu, a drzwi znów prowadziły po prostu na schody - w górę, w dół, na ulicę.

Za oknami Frank mógłby już zobaczyć budzący się ranek, gdyby tylko miał chęć i siłę oderwać wcześniej umocowane zasłony. Z każdym odgłosem bicia dzwonów światło żarówki przybierało na sile. Widział wówczas urywane obrazy zmieniającego się otoczenia. Na wschodniej ścianie zarysowały się pęknięcia. Cegły momentalnie zaczęły wysuwać się spomiędzy spoin i wyskakiwać na boki. Równie ostro widział przestrzeń poza pokojem, skąd dobywał się hałas bijącego dzwonu. Przestrzeń wypełniały... ptaki. Olbrzymie kosy uwięzione w gwałtownej burzy. Tylko tyle mógł wyczuć. Tylko tyle wiedział o prowincji, z której przybywały hierofanty: zagubione, kruche, połamane rzeczy. Upadały i powstawały na nowo.

Swoim strachem przepełniały ciemności.

Wkrótce ściany znów stały na swoim miejscu, a dzwon zamilkł. Żarówka zgasła. Tym razem zdawało się, że już na dobre.

Frank stał w ciemnościach. Milczał. Nawet gdyby pamiętał przygotowane słowa powitania, jego język nie byłby w stanie ich wypowiedzieć. Usta mu spierzchły.

Znieruchomiały. Wtem oślepiło go światło. Tym razem biło od nich: od kwartetu Cenobitów.

Ściana za nimi zasklepiła się. Cenobici zajęli pokój. Razem z nimi w pokoju pojawiały się i znikwały fosforyzujące światła, niczym odbłyски rybich łusek w morskiej toni. Błękitne, zimne

- bez uroku. Frank był zaskoczony, że nigdy dotąd nie zastanawiał się, jak wyglądają Cenobici. Jego wyobraźnia - bardzo twórcza, gdy chodziło o oszustwa i kradzieże - w tym przypadku zawiodła: umiejętność zobrazowania sobie tych ważnych bądź co bądź osób była poza zasięgiem jego możliwości. Nawet nie próbował.

Dlaczego jednak był tak zrozpaczony? Dlaczego bał się na nich spojrzeć? Czy to pokrywające każdy skrawek ich ciała blizny wywoływały jego przestraszanie? Ciała ich były ponakłuwane, poszatkowane, porozszarpywane i jakby potargane w popiele. Bił od nich zapach przypominający wanilię. Zapach był słodkawy, ale mimo to przebijał przezeń dobywający się z ich ciał odór. Światło nasiliło się, więc Frank mógł się im przyjrzeć dokładniej... Może z powodu tego światła zdawało mu się, że nie ujrzał nawet śladu radości czy choćby człowieczeństwa na ich okaleczonych twarzach. Tylko rozpacz i dziki głód.

Frankowi zbierało się na wymioty.

- Co to za miasto? - zapytał jeden z czterech.

Jego płci prawie nie można było rozpoznać. Odzież, miejscami poprzyszywana do skóry, zasłaniała intymne części jego ciała. Absolutnie nic nie można było wywnioskować ani z brzmienia jego głosu, ani z przemyślnie zniekształconych rysów. Kiedy mówił, haki przekłuwające mu powieki poruszały zawilgą płataninę łańcuchów przeprowadzonych przez skrawki ciała i kości. Ruch łańcuchów odsłaniał połyskujące mięśnie jego twarzy.

- Zadałem ci pytanie - powiedział przybysz. Frank nie odpowiedział. Nazwa miasta była ostatnią rzeczą, jaką potrafił sobie przypomnieć.

- Czy zrozumiałeś pytanie? - szorstko odezwała się postać obok. Jej głos, dla odmiany, był jasny i namiętny, jakby należał do urokliwej dziewczyny. Każdy skrawek jej twarzy był

misternie wytatuowany. Siatka nakłuć na każdym skrzyżowaniu linii poziomych i pionowych przypięta była do kości czaszki. Podobny wzór pokrywał język przybysza.

- Czy ty w ogóle wiesz, kim my jesteśmy? - zapytała postać.

- Tak - wydukał wreszcie Frank. - Wiem.

Oczywiście, że wiedział. Spędził z Kircherem długie noce, zagłębiając się w aluzje wyławiane z dzienników Bolingbroke'a i Gillesa de Rais. Cała ludzkość wiedziała o Obrządku Blizny. On też.

Ale mimo to... oczekiwał czegoś innego. Oczekiwał jakiejś oznaki licznych wspaniałości, do których Cenobici mieli dostęp. Myślał, że przybędą z kobietą; namaszczone, skąpaną w mleku. Kobietą ogoloną i dość silną, by dokonać aktu miłości. Chciał kobiet wyperfumowanych, o udach drżących z niecierpliwości, by się rozewrzeć. Kobiet o pełnych pośladek - takich, jakie uwielbiał. Czekał na westchnienia. Na omdlewające ciała spoczywające wśród kwiatów, niczym na miękkim kobiercu. Oczekiwał dziewiczych samic, których każdy zakamarek ciała był gotów do ekstazy na jego skinienie. Marzył o kobietach, których umiejętności wprawić by go mogły w osłupienie. Jeszcze, jeszcze - do niewyobrażalnej rozkoszy. Zapomniałby z chęcią o całym świecie w ramionach takiej kobiety. Żyłby namiętnością, zapomniałby o wzgardzie. Ale niestety. Ani kobiet, ani westchnień. Były tylko te bezpłciowe stwory o pofałdowanych ciałach.

Zabrał głos trzeci z przybyłych. Jego rysy gubiły się w bliznach - rany wiły się po całej twarzy. Pęcherze przesłaniały mu oczy, a wypowiedane słowa przypominały nieartykułowane mamrotanie. Usta były kompletnie zdeformowane.

- Czego chcesz? - zapytał Franka.

Przyjrzał się pytającemu z większą dokładnością i pewnością siebie niż dwóm poprzednim. Strach opuszczał go z każdą sekundą. Wizje zatrważających scen zza ściany odchodziły w niepamięć. Był sam na sam z tymi zgrzybiałymi typami. Z bijącym od nich smrodem, uduchowionymi odkształceniami. Z rzucającą się w oczy słabością. Obawiał się już tylko ataku mdłości.

- Kircher powiedział mi, że będzie tu was pięciu - powiedział Frank.

- Inżynier przybędzie tu, kiedy nadejdzie czas - padła odpowiedź. - Pytamy cię więc raz jeszcze: czego chcesz?

Frank uznał, że najlepiej będzie, jeśli odpowie im wprost.

- Chcę rozkoszy - odpowiedział. Kircher powiedział, że wiecie o rozkoszy wszystko.

- O tak. wiemy - odparł pierwszy z nich. - Wszystko, czegokolwiek pragnąłeś.

- Tak?

- Oczywiście. Oczywiście - gapił się na Franka nienaturalnie odsłoniętymi oczami. - A o czym marzyłeś? - zapytał.

Pytanie postawione prosto z mostu stropiło go. Jakże mogli oczekiwać, że Frank ubierze w słowa naturę fantazji tworzonych przez jego pożądanie? Szukał odpowiednich słów, kiedy jeden z nich powiedział:

- Ten świat... nie jesteś z niego zadowolony?

- Nie za bardzo - odpowiedział.

- Nie jesteś pierwszym, którego męczy trywialność tego świata - padła odpowiedź. - Byli i inni.

- Niewielu - dorzuciła pokryta siatką twarz.

- Prawda. W najlepszym razie garstka. Ale tylko nieliczni ośmielili się użyć Konfiguracji Lemarchanda. Byli to mężczyźni tacy jak ty. Spragnieni nowych możliwości.

Tacy, którzy słyszeli o naszych umiejętnościach nie znanych w twoich okolicach.

- Oczekiwałem, że... - zaczął Frank.

- Wiemy, czegoś oczekiwał - Cenobita zripostował zniecka. - Rozumiemy aż za dobrze, o co chodzi w twoim szaleństwie. Nie ma w tym nic nowego.

Frank chrząknął.

- Więc - zaczął znowu - wiecie, o czym marzę. Tylko wy możecie dać mi tę rozkosz.

Twarz jednego z nich rozwarła się w uśmiechu, o ile można to tak nazwać. Jego usta wyglądały jak pysk pawiana.

- Nie taką rozkosz, o jakiej myślisz - brzmiała odpowiedź.

Frank chciał mu przerwać, ale stwór w uciszającym geście podniósł dłoń.

- My stawiamy warunki. Możesz stracić panowanie nad sobą - powiedział przybysz. -

Warunki, których twoja wyobraźnia, choćby trawiona malaryczną gorączką, nigdy by nie przewidziała.

- ... tak?

- O tak. Z całą pewnością. Twoje najbardziej skrajne zboczenia są dziecinną zabawką w porównaniu z tym, czego możesz doświadczyć.

- Czy chcesz w nich wziąć udział? - zapytał drugi Cenobita.

Frank spojrział na blizny i haki. Język skołowaciał mu na nowo.

- Czy chcesz tego?

Na zewnątrz, niemal na wyciągnięcie ręki, wkrótce będzie się budził dzień. Dzień po dniu obserwował z okna tego pokoju budzącą się ulicę. Pakował się w jeszcze jedną bezsensowną grę. Ale wiedział, że świat nie jest w stanie dać mu już niczego, co by go mogło podniecić. Wysiłek - owszem, tego mógł mieć w bród. Ale nie mogło być mowy o żadnej satysfakcji. Tylko pustka. Nagłe pożądanie i równie nagła obojętność. Już dawno zrezygnował z tego bezowocnego wysiłku. Droga do czegoś więcej wiedzie przez odczytywanie dziwnych znaków czynionych przez te stwory. Ceną jest tylko ambicja. Był

gotów ją zapłacić.

- Pokażcie mi choć trochę - powiedział.

- Stamtąd nie ma już powrotu. Czy to rozumiesz?

- Pokażcie.

Cenobitom nie potrzeba było dalszych zachęt. Kurtyna poszła w górę. Frank usłyszał skrzypienie otwieranych drzwi. Zwrócił twarz w tę stronę. Świat za progiem zniknął. W tym miejscu panowały teraz te same, tchnące atmosferą grozy ciemności, z których wyszli członkowie Obrządku. Obejrzał się do tyłu, by Cenobitów poprosić o wytłumaczenie. Ale ich już tam nie było. Dowodem ich niedawnej obecności był jednak zmieniony wygląd pokoju. Z

podłogi zniknęły płatki kwiatów. Wota dziękczynne na ścianach szerniały, jakby od gorąca niewidocznego płomienia. Odór uderzył go w nozdrza z taką mocą, że bał się, iż zacznie krwawić.

Ale swąd spalenizny to tylko początek. Wkrótce głowa Franka tętniła niemal tuzinem innych zapachów. Perfumy, które poprzednio ledwo wyczuwał, teraz nagle przybrały na sile.

Zapach kwiatów, farby na suficie i soków drzewa, z którego wykonane były deski podłogi.

Wszystko to rozbrzmiewało mu w głowie.

Mógł nawet poczuć ciemność za drzwiami. Odurzał go smród setek tysięcy ptaków.

Zakrył ręką usta i nos, by powstrzymać ten istny atak zapachów, ale smród potu jego własnej dłoni przyprawił go o zawroty głowy. Chciało mu się wymiotować, lecz koniuszki nerwów na całym ciele zaczęły przekazywać do jego mózgu sprzeczne z sobą i coraz to nowe wrażenia.

Zdawało się, że czuje, jak pyłki kurzu gwałtownie zderzają się z jego skórą. Każdy oddech drażnił wargi. Od każdego mrugnięcia bolały go powieki. Żółć parzyła w gardle, a włókienko wczorajszego befsztyka, które utkwilo mu między zębami, przyprawiało o potworne bóle. Poczul pieczenie, gdy mikroskopijnej wielkości kropelka tłuszczu spadła mu na język.

Uszy także odczuwały ze zwielokrotnioną wrażliwością. Głowę przepełniały tysiące dźwięków. Część z nich dobywała się z jego płuc. Powietrze wiejące mu przez bębniaki przypominało huragan. Ruchy jelit rodziły serię przerażających szelestów. Były też i inne dźwięki, niezliczone hałasy napadające go ze wszystkich stron. Gniewne, podniesione głosy szeptały zaklęcia miłosne; wrzaski i ryki, urywane piosenki i płacz.

Co to było? Świat? Poranne pobudki w tysiącach domów?

Frank nie potrafił wsłuchać się w te głosy. Kakofonia dźwięków uniemożliwiała jakąkolwiek analizę.

Ale było tam też coś gorszego. Oczy! O, Boże na niebiosach! Nigdy nie przypuszczał, że mogą być aż tak przerażające. On, który myślał, że nie ma takiej rzeczy pod słońcem, która mogłaby go przestraszyć. Frank aż zatoczył się! Wszędzie wizje!

Goły sufit stał się oniemiającą geografiją śladów pędzla. Sploty nitek jego koszuli niosły niemożliwą do udźwignięcia groźbę.

Frank zauważył, że w rogu pokoju, na głowie gołębiczy, drgnął jakiś okruch. Gołębia głowa

mrugnęła do niego porozumiewawczo. O nie! Tego było za wiele! Za wiele!

Przerażony do granic wytrzymałości Frank zacisnął oczy. Ale wewnątrz było wszystkiego jeszcze więcej niż tam, gdzie mógł sięgnąć wzrokiem, gdy miał otwarte oczy.

Gwałtowne uderzenie wspomnień poruszyło go do głębi. Widział, jak ssie mleko matki.

Zakrztusił się. Czuł czyjeś ręce na sobie (czy była to bójka czy też braterski uścisk?). Uchwyt dusił go coraz bardziej i brutalniej. Krótkie muśnięcia wrażeń, wszystkie święte nakazy nakreślone doskonałą ręką na korze mózgowej łamały go siłą huraganu, powodując, że nie był w stanie o nich zapomnieć.

Czuł, że zaraz wybuchnie. Oczywiście świat poza jego głową - pokój, ptaki za drzwiami - nie był nawet w połowie tak przerażający, jak wspomnienia pod powiekami.

Lepiej będzie, jak otworzę oczy - pomyślał. Powieki jednak odmówiły mu posłuszeństwa; nie mógł ich podnieść. Nie chciały się odkleić. Łzy, jakaś wydzielina, zaszyły je niczym igła z nitką.

Przypomniał sobie opowieści o Cenobitach: o hakach i łańcuchach. Czyżby poddali go już swoim chirurgicznym praktykom? A może na zawsze zamknęli przed nim świat dostępny wzrokowi i uwięzili pod powiekami? Skazali go na wieczne doświadczanie wspomnień...

W obawie o własne zdrowie zaczął błagać ich, choć nie był pewien, czy nadal są w zasięgu jego głosu:

- Dlaczego... - zapytał - dlaczego to robicie?

Echo słów obilo mu się o uszy, ale nie był w stanie tego usłyszeć. Zalewało go coraz więcej wrażeń. Przerażające wspomnienia z przeszłości.

Język zalały obrazy z dzieciństwa - mleko i wstyd. Stopniowo wśród wspomnień zaczęły dominować uczucia charakterystyczne dla wieku dojrzałego. Oto zobaczył siebie jako dorosłego mężczyznę. Miał wąsy i mocne ręce. Był silny i odważny.

Przyjemności wieku młodzieńczego owiane były magnetyzmem świeżości. Lecz w miarę jak przemijały, a delikatne wspomnienia traciły swoją moc, trzewia Franka przepełniały się coraz to mocniejszymi wrażeniami. I oto przyszły znowu. Drażniły go tym bardziej, że dotąd spoczywały gdzieś na dnie świadomości.

Czuł niewypowiedziany smak na końcu języka. Gorycz, to znów słodycz. Coś kwaśnego i słonego. Czuł piołun, odchody, włosy matki. Widział szybkość, słyszał tąpnięcia w głębinach morskich. Czuł ruch miejski, słyszał szum chmur na niebie. Gorąco płwocin parzyło go w policzek.

Wśród wizji pojawiały się też, oczywiście, kobiety.

Pełne podniecenia i wstydu pojawiały się przed oczami wnikając w jego zmysły.

Porażały go kobiecym zapachem, dotykiem, smakiem.

Czuł się pobudzony bliskością tego haremu, mimo dziwnych okoliczności. Rozpiął rozporek spodni i zaczął drażnić członka. Chciał raczej pozbyć się nasienia i tym samym uwolnić się od potworów niż znaleźć w tym jakąkolwiek przyjemność. Nie do końca zdawał

sobie z tego sprawę, choć raczej przeczuwał to, co się stało. W miarę jak jego męskość przybierała na długości, stawał się coraz bardziej żaloszny. Ślepiec w pustym pokoju podniecony przywidzeniami. Ale do tortur podobny, nie przynoszący rozkoszy, orgazm wcale nie spowolnił nieubłaganych wizji. Kolana mu znieruchomiały. Upadł. Zawył z bólu upadłszy, ale nie rozczulił się nad sobą wobec nowej fali okropnych wspomnień.

Obrócił się na plecy i krzyczał. Krzyczał i błagał o koniec, ale ilość doznań tylko zwiększyła się. I rosła jeszcze bardziej z każdą jego prośbą o uwolnienie od wizji.

Błagania zamieniły się wnet w jeden dźwięk. Słowa i sens zostały wyparte przez panikę. Wydawało się, że udręka nigdy się nie skończy. Stracił już wszelką nadzieję. Liczył

tylko na to, że uwolni go śmierć.

Kiedy, pogrążony w rozpacz, sformułował resztką sił swoją ostatnią myśl, obłęd zatrzymał się. Wszystko zniknęło w mgnieniu oka. Bez śladu! Wizje, głosy, dotknięcia, smaki i zapachy. Został zniecka tego wszystkiego pozbawiony. Przez kilka sekund wątpił nawet, czy w ogóle jeszcze istnieje. Dwa uderzenia serca, trzy, cztery - przekonały go, że żyje.

Wraz z piątym uderzeniem otworzył oczy. W pokoju było pusto. Zniknęły gołębne łebki i dzban z uryną. Drzwi były zamknięte.

Usiadł, nabrawszy nieco animuszu. Ręce mu drżały; bolała go głowa, przeguby i pęcherz.

Wtem przyciągnęło jego uwagę poruszenie w drugim końcu pokoju. W miejscu, gdzie przed chwilą było zupełnie pusto, siedziała jakaś postać. Był to czwarty Cenobita; ten, który nic nie mówił i który nie pokazał nawet swojej twarzy. Teraz jednak nie wyglądał na potwora.

Była to kobieta. Bez kaptura i bez krępujących więzów. Miała jakby szarą cerę, ale cała była lśniaca. Uwagę Franka przyciągnęły jej krwawe usta. Rozszerzone nogi odsłaniały pulchne podbrzusze. Siedziała na zwałach gnijących głów ludzkich i uśmiechała się zapraszająco.

Frank podniecił się tym niesamowitym połączeniem śmierci i seksu. Nie miał żadnych wątpiwości, że to ona osobiście zgładziła swe ofiary. Za jej paznokciami wciąż tkwiły resztki ludzkiej skóry. Co najmniej dwadzieścia powyrywanych języków pokrywało jej namaszczone uda. Języki chciały jakby w nią wejść. Był pewien, iż resztki mózgu spływające z uszu i nozdrzy głów są dowodem na to, że ofiary doprowadzone były do obłędu zanim stosunek seksualny, czy może zwykły pocałunek, odebrał im ostatnie tchnienie.

Kircher okłamał go - albo sam został wprowadzony w błąd. W powietrzu wisiała atmosfera rozkoszy, nie takiej jednak, do jakiej przywyknąć mógł zwykły śmiertelnik.

Otwierając kostkę Lemarchanda, Frank popełnił błąd. Potworny błąd!

- Ach! Więc wreszcie skończyłeś śnić - powiedziała przyglądając się Frankowi badawczo. - To dobrze.

Frank leżał na podłodze i ciężko dyszał. Języki zsunęły się z nogi, kiedy kobieta powstała.

- Teraz możemy zaczynać - powiedziała.

## **ROZDZIAŁ DRUGI**

- Nie całkiem tego oczekiwałam - stwierdziła Julia.

Zapadał zmierzch. Kończył się zimny, jak na sierpień, dzień. Nie była to najlepsza pora na oglądanie domu, który tak długo stał pusty.

- Potrzeba tu dużo pracy - powiedział Rory. - Od śmierci babci stoi nietknięty. Jestem pewien, że ona nie brała się tutaj za nic.

- Czy dom należy teraz do ciebie?

- Do mnie i Franka. Przypadł nam obu w testamencie. Ale kiedy to mojego starszego brata widziano po raz ostatni?

Wzruszyła ramionami, jakby nie pamiętała. Ale przecież pamiętała doskonale. Było to na tydzień przed ich ślubem.

- Mówił mi ktoś, że był tu przez kilka dni zeszłego lata. Wykolejeniec. Ciągłe gdzieś znika. W ogóle nie przejmuje się posiadłością.

- Ale co będzie, jak się wprowadzimy; on się pojawi i upomni o swoje.

Splacę go. Wezmę pożyczkę z banku i splacę go. On na to pójdzie, zawsze brakuje mu gotówki.

Skinęła głową, ale nie wyglądała na przekonaną.

- Nie przejmuj się - powiedział. Podszedł do niej i objął ją.

- Ten dom jest nasz, laleczko. Możemy go pomalować, umeblować i wypieścić.



Będzie nam tu jak w raju.

Spojrzał na jej twarz. Czasami, szczególnie gdy - tak jak teraz - miała wątpliwości, jej piękno niemal przerażało go.

- Zaufaj mi - powiedział z przekonaniem.

- Przecież ci ufam.

- No to w porządku. A więc w niedzielę wprowadzamy się.

\* \* \*

Nadeszła wreszcie niedziela. Nawet w tej części miasta był to dzień Boży. Jeśli jednak właściciele tych wspaniałych domów i wypucowanych dzieci nie wierzyli w Boga, przestrzegali dnia wolnego. Zasłony w oknach nie były jeszcze odsunięte, gdy przyjechała ciężarówka Lewtona i zaczęto wyładunek. Kilku ciekawskich sąsiadów, pod pretekstem wyprowadzenia psa, przespacerowało się obok domu raz czy dwa. Nikt jednak nie próbował

zagadywać świeżo przybyłych. Nikt też, oczywiście, nie zaoferował się z pomocą przy przenoszeniu mebli. Niedziela nie była najlepszym dniem na uciążliwe prace.

Julia doglądała rozpakowywania, a Rory starał się zorganizować wyładunek ciężarówki. Lewton i Szalony Bob okazali się tu bardzo pomocni. Musieli zrobić cztery kursy, by przewieźć wszystkie graty z Alexandra Road. Pod koniec dnia jednak sporo kłopotów zostało jeszcze w starym mieszkaniu.

Około drugiej po południu w progu pojawiła się Kirsty.

- Przyszłam zobaczyć, czy nie mogłabym w czymś pomóc - powiedziała. W jej przepraszającym głosie można było wyczuć wahanie.

- Lepiej wejść do środka - odparła Julia i wróciła do dużego pokoju. Jego wnętrze przypominało pole bitwy. Zwycięstwo na nim przechylało się wyraźnie na stronę chaosu.

Julia przeklinała pod nosem Rory'ego. To było w jego stylu. Zapraszać kogo się da do pomocy. Kirsty byłaby tu raczej zawadą. Jej marzycielski, wiecznie niezorganizowany sposób bycia nie wprawiał Julii w najlepszy nastrój.

- Co mogę zrobić? - zapytała Kirsty. - Rory powiedział, że...

- O tak - przerwała jej Julia. - Jestem pewna, że powiedział.

- A gdzie on teraz jest? To znaczy... Rory?

- Pojechał po kolejną partię rzeczy. Żeby jeszcze bardziej powiększyć ten bałagan.

- Aha.

Julia zmiękła jednak:

- Wiesz, to bardzo miło z twojej strony - powiedziała - że przyszedłeś tutaj, ale nie sądzę, żeby było coś konkretnego do zrobienia dla ciebie.

Kirsty z lekka zaczerwieniła się. Może była rozmarzona, ale nie głupia.

- Aha, rozumiem - odparła. - Jesteś pewna? Czy nie mogłabym na przykład... to znaczy... może chcesz, żebym ci zrobiła kawę?

- Kawa! - zawołała Julia i zdała sobie sprawę, jak bardzo zaschło jej w gardle. - Tak - powiedziała - to świetny pomysł.

Oczywiście, parzenie kawy nie obyło się bez pomniejszych trudności. Nic, za co wzięła się Kirsty, nie mogło być całkowicie łatwe. Stała w kuchni i czekała, aż woda w małym rondlu zagotuje się. Samo odszukanie rondla zabrało jej dobry kwadrans. Myślała, że właściwie nie powinna tu była przychodzić. Julia zawsze patrzyła na nią jakoś tak dziwnie.

Tak, jakby była zbita z tropu tym, że Kirsty nie została uduszona zaraz po przyjsciu na świat.

Teraz Rory poprosił ją, żeby pomogła im. A to było chyba wystarczające zaproszenie. Nie

odrzucałyby szanse zobaczenia jego uśmiechu nawet, gdyby miało jej w tym przeszkadzać sto Julii.

Ciężarówka przyjechała po dwudziestu pięciu minutach. W tym czasie obie kobiety wniosły sporo mebli. Wymieniły kilka zdawkowych uwag. Nie miały z sobą wiele wspólnego. Julia była słodka i piękna. Mężczyźni oglądali się za nią na ulicy. Kirsty tymczasem była nieciekawą dziewczyną. Z oczu mogła wykrzesać tyle piękna, ile Julii zdarzało się mimochodem. Już dawno odkryła, że życie nie było wobec niej sprawiedliwe.

Ale dlaczego, skoro pogodziła się z tą prawdą, okoliczności jakby nadal starały się ją przekonywać do tego?

Ukradkiem obserwowała Julię przy pracy i wydawało się jej, że Julia po prostu nie potrafi nie być piękną. Każdy jej gest - odgarnięcie włosów z czoła wierzchem dłoni czy zdmuchnięcie kurzu z ulubionej filiżanki - wszystko to promieniało mimowolnym wdziękiem.

Widząc to, Kirsty rozumiała psią niemal adorację Rory'ego dla Julii. A rozumiejąc to - rozpacziała tym bardziej.

Wszedł wreszcie, spocony i zasapany. Popołudniowe słońce grzało niemiłosiernie.

Uśmiechnął się do niej, prezentując garnitur niezbyt równych zębów, którym kiedyś nie mogła wręcz się oprzeć.

- Cieszę się, że przyszałaś - powiedział.

- Z chęcią pomogę - odparła, ale on już - patrzył w inną stronę. Na Julię.

- No, jak leci?

- Odchodzę od zmysłów - powiedziała do niego.

- Zaraz będziesz mogła trochę odpocząć od swojej roboty - powiedział Rory. - Tym razem specjalnie w tym celu przywieźliśmy łóżko - zażartował i mrugnął do niej konspiracyjnie, ale Kirsty nie zareagowała.

- Czy mogę pomóc w rozładunku? - zaofiarowała się.

- Lewton i Bob już to robią - padła odpowiedź Rory'ego.

-Aha.

- Ale ozłociłbym tego, kto poratowałby mnie filiżanką herbaty.

- Herbaty jeszcze nie znalazłyśmy - powiedziała Julia.

- O, to może jest kawa?

- Tak - powiedziała Kirsty. - A tamci dwaj też coś będą chcieli?

- To samo, skarbie!

Kirsty wróciła do kuchni, naląła wody do rondelka i ustawiła go na ogniu. Słyszała, jak w korytarzu Rory kieruje wyładunkiem.

Na zewnątrz mężczyźni nieśli łóżko. Małżeńskie. Usiłowała nie dopuszczać do siebie wizji Rory'ego obejmującego Julię, ale nie mogła opędzić się od tego rodzaju wyobrażeń.

Wpatrywała się w wodę, ale widziała tylko bolesne obrazy ich wspólnej rozkoszy.

\* \* \*

Podczas gdy pod domem trójka mężczyzn walczyła z opornym łóżkiem, Julia traciła zapał do pracy przy rozpakowywaniu. Według niej sytuacja przedstawiała się katastrofalnie.

Wszystko tkwiło jeszcze w kartonach i skrzyniach po herbacie - do góry nogami. Musiała wyciągać absolutnie zbędne przedmioty, aby dostać się do rzeczy, bez których nie można się było obejść.

Kirsty, nie opuszczając swojego miejsca w kuchni, w milczeniu zmywała filiżanki po kawie.

Głośno już przeklinając, Julia zostawiła bałagan takim jaki był i wyszła przed dom na papierosa. Oparła się o otwarte na oścież drzwi i zaciągnęła się. Był dopiero dwudziesty pierwszy sierpnia, ale

popołudniowe słońce nadawało otoczeniu specyficzny, zwiastujący jesień kolor.

Straciła rachubę czasu. Dzień przepłynął jej między palcami. Dzwony wzywały na wieczorne nabożeństwo. Bicie dzwonów rozpływało się falami po okolicy. Poczula się bardzo swojsko. Przypomniała sobie dzieciństwo. Nie myślała o żadnym konkretnym dniu czy miejscu. Czula się po prostu młodo, tajemniczo.

Nie była w kościele od dobrych czterech lat. Od dnia ślubu z Rory'm. Nastrój zepsuło wspomnienie tego dnia, albo raczej obietnic, które z sobą niósł, a które nie spełniły się.

Zgasiła papierosa i wróciła do środka. Wewnątrz domu było jakoś ponuro w porównaniu z zalanym słońcem frontem. Nagle poczuła się zmęczona. Chciało się jej płakać.

Zanim mogli pójść spać, musieli jeszcze zmontować łóżko. Nie zdecydowali dotąd, gdzie będzie sypialnia. Postanowiła, że rozejrzy się teraz. Nie będzie przez to musiała wracać do dużego pokoju na parterze, gdzie krzątała się wiecznie rozżalona Kirsty.

Dzwony wciąż były, gdy otwierała drzwi największego pokoju na piętrze. Z racji swoich rozmiarów wydawał się najodpowiedniejszym miejscem na sypialnię. Ale słońce nie dotarło do jego wnętrza. Rolety szczelnie przesłaniały okno. W pokoju panował lekki chłód.

Przeszła po zaplamionej podłodze do okna. Spróbowała podnieść roletę, ale odkryła dziwną rzecz. Roleta przybita była do ramy, skutecznie izolując wnętrze pokoju od najmniejszych znaków życia pełnej słońca ulicy. Usiłowała pociągnąć roletę. Bez rezultatu. Ten, kto ją tak umocował, kimkolwiek by był, wykonał swoją robotę nadzwyczaj solidnie.

Tak czy owak, poprosi Rory'ego, kiedy wróci, żeby usunął gwoździe obcęgami.

Odwróciła się od okna i nagle uświadomiła sobie, że bicie dzwonów wciąż wzywa wiernych.

Czyżby dzisiaj nikt nie przyszedł na nabożeństwo?

Czy przynęta - w postaci obietnicy rajy - nie była w wystarczająco zachęcający sposób przymocowana do księżego haczyka? Nie zastanawiała się nad tym zbyt serio. Ale dzwony były w najlepsze, rezonując pomiędzy ścianami pokoju. Ręce i nogi obolałe ze zmęczenia zdawały się opadać same z siebie. W głowie tętniło jej niemiłosiernie.

Doszła do przekonania, że pokój jest okropny. Było tu nieświeżo. Zacienione ściany zdawały się jakieś lepkie. Mimo sporych rozmiarów pokoju postanowiła, że nie da się przekonać Rory'emu, aby tutaj znalazła się ich sypialnia. Niechże ten pokój zostanie pusty i niszczyje dalej.

Ruszyła do drzwi, ale już po kilku krokach kąty pokoju jakby zaskrzypiały. Nagle zatrzęsnęły się drzwi. Nerwy Julii zadrgały. Była bliska szlochowi.

Nie wpadła w płacz, ale powiedziała do siebie:

- Do diabła, co mi tam. - I nacisnęła kłamkę. Przekręciła ją bez trudu (dlaczego niby miałyby mieć z tym kłopot?). Odetchnęła z ulgą i otworzyła drzwi. Na schodach poczuła ciepło.

Mieszkanie zalane było złotawym światłem popołudnia.

Zamknęła za sobą drzwi i z uśmiechem pełnym satysfakcji, której przyczyny nie mogła lub nie chciała dociekać, przekręciła klucz w zamku.

Kiedy puściła klucz, dzwony zamilkły.

\* \* \*

- Ależ kochanie! Tamten pokój jest największy...

- Nie podoba mi się, Rory. Jest wilgotny. Możemy sobie urządzić sypialnię w tym pokoju z tyłu.

- Jeżeli to cholerne łóżko przejdzie przez drzwi.

- Oczywiście, że przejdzie. Dobrze o tym wiesz.

- Moim zdaniem tracimy najlepszy pokój -zaprotestował, choć zdawał sobie sprawę, że to już było *fait accompli*.

- Mama wie lepiej - zażartowała ucinając dyskusję. Ognikom w jej oczach daleko było jednak do matczynego ciepła.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Pory roku - jak kobieta i mężczyzna - tęsknią do siebie, w strachu przed własną nieskończonością.

Wiosna, jeżeli przedłuży się o tydzień względem kalendarza, zaczyna łaknąć lata, niezmiennie kończąc każdy dzień obietnicą. Lato z kolei wnet zaczyna pocić się z wysiłku, by zdobyć coś na ochłodę, a nawet najłagodniejsza jesień męczy się swoją elegancją i pragnie szybkiego i ostrego mrozu, który pozbawi ją płodności. Nawet zima - najsroższa pora, najbardziej nieprzejednana, szczególnie gdy w lutym sama dostaje gęsiej skórki - marzy o płomieniu, który ogrzałby ją. Wszystko przemija z czasem i szuka swego przeciwieństwa, by je przed sobą uchronić.

Sierpień zatem ustąpił wrześniowi i nikt przeciwko temu nie protestował.

Trzeba było nad tym nieźle popracować, ale w efekcie dom na Lodovico Street zaczął wyglądać bardziej gościnnie. Zdarzały się nawet wizyty sąsiadów, którzy po oszacowaniu nowych lokatorów bez przeszkód mogli im wyznać, jak bardzo są szczęśliwi, że numer 55 znów jest zamieszkały. Tylko jeden z nich wspomniał Franka twierdząc, że zeszłego lata mieszkał w tym domu przez parę tygodni jakiś typek. Sąsiad poczuł się odrobinę zakłopotany, gdy Rory poinformował go, że to jego brat był tym typkiem. Na szczęście zmieszanie pokrył bezgraniczny wdzięk i uroda Julii.

Rory rzadko wspominał Franka w czasie małżeństwa, mimo że przez całe dzieciństwo stanowili nierozłączną parę. Julia dowiedziała się o tym przy okazji zwierzeń po pijanemu, na jakiś miesiąc czy dwa przed ślubem. Rory, melancholijnie nastrojony, nieco dłużej rozwodził się wówczas o Franku. Żałował wówczas, że ich drogi rozeszły się, kiedy w przeszłość odeszła ich młodość. Coraz bardziej żałował, że nieokiełznany styl życia Franka był przyczyną zmartwień rodziców. Wyglądało na to, że kiedy już Frank, od wielkiego dzwonu, pojawiał się, przybywszy z jakiegoś odległego zakątka świata, gdzie akurat rzuciły go losy, zawsze sprawiał ból rodzicom. Rodzina była oburzona opowieściami o przygodach pachnących kryminałem, o dziwkach i drobnych kradzieżach. Ale bywało jeszcze gorzej, albo przynajmniej tak myślał Rory. Czasami Frank opowiadał o życiu w delirium, o pragnieniu przeżyć nie uwzględniających żadnych norm moralnych.

Julia nie do końca wiedziała, co właściwie rozbudziło w niej ciekawość. Mieszanina odrazy i niechęci czy też ton, w jaki wpadał Rory, opowiadając o Franku. Jakakolwiek była tego przyczyna, nie mogła oprzeć się palącej ciekawości o losy tego szaleńca.

I wówczas, na krótko przed ich ślubem, czarna owca pojawiła się. Frank we własnej osobie. Jego sprawy wówczas układały się nie najgorzej. Na palcach nosił złote pierścienie.

Cerę miał lśniącą i opaloną. W niczym nie przypominał potwora z opowieści Rory'ego. Był pełen ogłady, niczym wypolerowany, szlachetny kamień. W okamgnieniu poddała się jego urokowi.

Rozpoczął się przedziwny okres. W miarę jak zbliżała się data ślubu, spostrzegła, że coraz mniej uwagi poświęca swemu przysłanemu mężowi. Jej myśli skupiały się coraz częściej na jego bracie. Nie do końca byli różni. Było coś wspólnego w ich głosach, swobodnym sposobie bycia, po czym można było poznać, że są rodzeństwem. Ale do zalet Rory'ego Frank wniósł coś, czego jego brat nigdy mieć nie będzie: piękny smutek, niemal godną rozpacz.

Być może nieuniknione było to, co się potem stało. Bez względu na to, jak bardzo opierałaby się swoim instynktom, mogła najwyżej opóźnić spełnienie ich wzajemnego uczucia. Przynajmniej tak

usiłowała się przed sobą później tłumaczyć. Ale nawet wówczas, gdy już oskarżyła siebie samą, nadal przechowywała w głębi duszy, jak najcenniejszy skarb, wspomnienie ich pierwszego, a zarazem ostatniego, stosunku.

Kirsty była tego dnia w domu, też w związku z przygotowaniem do wesela.

Przyjechał Frank, a telepatia, pojawiająca się wraz z uczuciem (i razem z nim potem blednąca), podpowiedziała Julii, że nadszedł już ten dzień. Zostawiła Kirsty z listą spraw do załatwienia i wzięła Franka na piętro pod pretekstem pokazania mu swej ślubnej sukni. Tak to właśnie pamiętała. On poprosił ją, żeby mu pokazać tę suknię. Julia założyła woalkę śmiejąc się na myśl o sobie w bieli. Frank zza jej pleców uniósł woalkę do góry. Julia zaczęła się śmiać. Śmiać i śmiać, jakby chciała sprawdzić siłę jego determinacji. Jej wesołość nie ostudziła go jednak wcale. Nie tracił czasu na miłe, ale zbyt czyste pozory. Jej gładkie, miękkie wnętrze przyjęło wnet coś znacznie twardszego. Ich zespolenie, pod każdym względem, mimo jej przyzwolenia, pełne było agresji i bezceremonialności gwałtu.

Pamięć, oczywiście, polukrowała fakty. Julia w ciągu czterech lat od tamtego popołudnia często wspominała tamtą scenę. Teraz, gdy o tym myśli, traktuje się jak cenne trofea ich namiętności. Dawne łzy są teraz dla niej dowodem na prawdziwość jej uczuć do niego.

Następnego dnia Frank zniknął. Związał do Bangkoku albo na Wyspy Wielkanocne.

Tam, gdzie nie musiał bać się żadnych długów. Wpadła w rozpacz; nie mogła jednak na to nic poradzić. Jej rozpacz nie przeszła nie zauważona. Chociaż nigdy nie było o tym mowy, często zastanawiała się, czy ochłodzenie związku z Rory'm, które nastąpiło wkrótce, nie miało swych korzeni właśnie w tej jej rozpacz. W rozpacz i w tym, że myślała o Franku, gdy była w łóżku z jego bratem.

A teraz? Teraz, mimo zmiany domu i szansy na rozpoczęcie wszystkiego razem i od nowa, wszystko wydawało się w zmowie, by znów przypomnieć jej Franka.

To nie tylko paplanina sąsiada przywiodła jej go na myśl. Któregoś dnia, gdy samotnie rozpakowywała różne osobiste rzeczy, wpadło jej w ręce kilka albumów z fotografiami Rory'ego. Było tam sporo stosunkowo nowych zdjęć z ich wakacji w Atenach i z Malty. Ale znalazła też wiele zdjęć, których nigdy przedtem nie widziała. Być może Rory trzymał je przed nią w ukryciu. Zdjęcia rodzinne sprzed dziesiątków lat. Fotografia rodziców Rory'ego i Franka w dniu ślubu - czarno-biały wizerunek wypłowił przez lata. Zdjęcia z chrztów, na których dumni rodzice chrzestni kołysali niemowlęta opatulone w rodzinne koronki.

I wreszcie zdjęcia obu braci. Patrzyli na nią wielkimi oczami bawiąc się razem w piaskownicy. W szkole - w strojach gimnastycznych, to znów w szkolnych mundurkach. A potem, jakby onieśmielenie przyszczatym wiekiem dojrzewania przerzedziło zasoby fotek. Aż do czasu, gdy z ropuchy wyłoniła się księżniczka już po stronie świata dorosłych.

Kiedy oglądała zdjęcia Franka w jaskrawych kolorach, błaznującego przed obiektywem aparatu, na policzki wystąpiły jej rumieńce. Zawsze był nieco ekshibicjonistycznym młodzieniaszkiem, tyle ile było trzeba być takim właśnie. Zawsze nosił

się *a la mode*. Rory, w przeciwieństwie do niego, wyglądał nieciekawie. Zdawało się, że przyszłe drogi życiowe braci nakreślone były na tych właśnie portretach. Franka - jako uśmiechniętego, uwodzicielskiego kameleona, a Rory'ego - jako prawego obywatela.

Spakowała w końcu zdjęcia. Kiedy wstała, po zarumienionych policzkach potoczyły się łzy. Nie były to jednak łzy goryczy. Żal nie miałby najmniejszego sensu. Płakała z bezsilnej złości.

Wiedziała teraz z absolutną pewnością, kiedy właściwie złość na Rory'ego zaczęła gościć w jej sercu. Wtedy, gdy razem z Frankiem gniotła woalkę na łóżku, obsypywana jego pocałunkami.

Raz na jakiś czas zaglądała do pokoju na górze.

Jak dotąd nie urządzili się jeszcze na piętrze. Najpierw chcieli zrobić wszystko tam, gdzie życie miało bardziej publiczny charakter. Dlatego pokój ten pozostał nietknięty.

Właściwie „nie przekroczony”, jeśli nie liczyć kilku jej wizyt.

Sama nie wiedziała, dlaczego tam chodzi. Nie miała też pojęcia, skąd biorą się przedziwne wrażenia opanowujące ją w pokoju. Było coś w tym ciemnym wnętrzu, co sprawiało, że czuła się tam bardziej wygodnie. Było to coś, czego obecności tam nie potrafiła sobie w żaden sposób wytłumaczyć - kawałek macicy. Macicy należącej do martwej kobiety.

Czasami, gdy Rory był w pracy, po prostu szła na górę i siadała w ciszy, nie myśląc o niczym. W każdym razie nie myślała o niczym, co można było ubrać w słowa.

Te wycieczki wywoływały w niej głębokie poczucie winy. Starła się trzymać z daleka od tego miejsca, gdy Rory był w domu. Ale nie zawsze było to możliwe. Czasami nogi same prowadziły ją po schodach do pokoju, choć wcale nie miała na to ochoty.

Stało się to w sobotę, w dzień krwi.

Przyglądała się, jak Rory, klęcząc na podłodze w kuchni, zeszkrobuje farbę z drzwi.

Nagle zdało się jej, że słyszy wezwanie dobiegające z pokoju. Zadowolona, że Rory na dobre przywiązany jest do roboty, weszła na piętro.

Było tu chłodniej niż zwykle. Ucieszyła się. Przyłożyła dłoń do ściany, a potem przeniosła oziębioną rękę na skroń.

- Bez sensu - zamruczała, myśląc o mężu pracującym na dole. Nie kochała go, a w każdym razie nie bardziej niż on ją (jeżeli nie brać pod uwagę bzika Rory'ego na punkcie piękna jej twarzy). Rory heblował świat dla siebie, podczas gdy ona cierpiała tutaj, w oddali i w osamotnieniu.

Podmuch wiatru uderzył w drzwi kuchenne na parterze. Usłyszała ich trzask.

Hałas przeszkodził Rory'emu w pracy i rozproszył jego uwagę. Szpachelka podskoczyła i wbiła się głęboko w kciuk jego lewej dłoni. Wrzasnął, kiedy pojawił się strumień ciemnej krwi. Szpachelka upadła na podłogę.

- Do jasnej cholery!

Słyszała, co stało się mężowi. Nie zrobiła jednak żadnego ruchu, by mu pomóc.

Otrząsnąwszy się z mgielki melancholii, która ją otoczyła, zdała sobie zbyt późno sprawę, że Rory wchodzi już po schodach. Zaczęła poszukiwać klucza, który byłby doskonałym pretekstem wyjaśniającym jej obecność na schodach.

Ale Rory stał już na progu. Przekroczył go i zmierzał w jej stronę. Lewą ręką trzymał zranioną dłoń. Krew tryskała z rany, sączyła się między palcami i ściekała po przedramieniu.

Kapała z łokcia dodając nowe plamy na już i tak przybrudzonej podłodze.

- Co się stało? - zapytała.

- A jak myślisz? - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Przeciąłem się.

Twarz i szyja Rory'ego przybrały siny kolor ściany. Widziała go już w takim stanie kiedyś, kiedy nieomal zemdlał na widok swojej własnej krwi.

- Zrób coś - wyrzucił z siebie nerwowo.

- Głęboko się przeciąłeś?

- Nie wiem - wydarł się na nią. - Nie chcę na to patrzeć!

Pomyślała sobie, że wygląda śmiesznie. Nie było jednak czasu na zagłębianie się w takie myśli.

Chwyciła jego krwawiącą dłoń i obejrzała ranę. Była dość spora i ciągle krwawiła. Z

przebiegała splotywała gęsta, ciemno zabarwiona krew.

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli pojedziemy do szpitala - powiedziała.

- Możesz to czymś przewiązać? - zapytał tonem dalekim już od złości.

- Oczywiście. Muszę tylko wziąć czysty bandaż. Chodź!

- Nie - odparł, potrząsając przecząco głową. - Jeśli zrobię choć jeden krok - zemdleję.

- No to zostań tutaj i zaczekaj chwilę - uspokoiła go. - Wszystko będzie dobrze.

Julia bezskutecznie szukała jakichś bandaży w szafce w łazience, ale ostatecznie zdecydowała się rozdrzeć kilka swoich chusteczek do nosa i wróciła do pokoju. Rory opierał

się o ścianę. Jego spocona twarz połyskiwała, a krew z ręki nieprzerwanie powiększała kałużę na podłodze. Czula zapach krwi w powietrzu.

Uspokoiła go mówiąc, że nie umiera się od tak niegroźnej rany. Zabandażowała mu dłoń używając chusteczki, którą zawiązała w supełek. Powoli podprowadziła męża do schodów i sprowadziła na dół. Trząśił się jak osika. Krok po kroku, jak z małym dzieckiem, dotarła z Rory'm do samochodu.

W szpitalu musieli czekać prawie godzinę w kolejce osób nie wymagających natychmiastowej pomocy. Ostatecznie ranę obejrzano i zszyto. Julia miała kłopot z oceną, co w tym całym epizodzie było najbardziej komiczne: jego słabość czy ekstrawagancka, przesadnie wylewna wdzięczność za jej pomoc. Kiedy zaczął dziękować jej po raz kolejny, powiedziała, że nie oczekuje podziękowań, bo to naturalne, że mu pomaga. Było to zgodne z prawdą.

Nie chciała niczego, co mógłby jej dać, może z wyjątkiem swej nieobecności.

\* \* \*

- Czy usunąłeś plamy z tego zawilgoconego pokoju? - zapytała go następnego dnia.

Nazywali go tak od ich pierwszej niedzieli, chociaż nie było tam śladu grzyba, od podłogi po sufit.

Rory oderwał wzrok od gazety. Szare worki zwisały mu pod oczami. Nie spał za dobrze, był nieswój. Przecięty palec i nocne zmyrny o śmierci nie dawały mu spokoju. Ona, z drugiej strony, spała jak niemowlę.

- Co powiedziałaś? - zapytał.

- Podłoga - powtórzyła. - Na podłodze była krew. Wymyłeś podłogę, prawda?

Potrząsnął głową przecząco.

- Nie - odpowiedział po prostu i znowu zagłębił się w lekturze.

- No tak. Ja też nie - powiedziała. Uśmiechnął się do niej pobłażająco.

- Jesteś po prostu doskonałą *hausfrau* - powiedział. - Nawet nie wiesz, kiedy sprzątasz i czyścisz.

Temat był zamknięty. Z zadowoleniem stwierdził, że Julia już nie panuje nad tym, co robi.

Ona zaś miała przedziwne uczucie, że wkrótce ponownie popadnie w szaleństwo.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Kirsty nienawidziła przyjąć. Zamiast szczeroci - uśmiechy. Konieczność interpretowania wyrazu czyichś oczu. A co najgorsze - konieczność rozmowy. Nie miała nic do powiedzenia na żaden z tematów, którym ktokolwiek mógłby choć minimalnie zainteresować się. Widziała już zbyt wiele nie wierzących jej słowom oczu gapiących się poza nią. Poznała sztuczki pozwalające uwolnić się od towarzystwa nudziarza.

„Przepraszam na sekundkę, ale zdaje się, że widzę mojego księgowego” - aż po pijackie zwałanie się na podłogę.

Ale Rory nalegał, aby przyszła na parapetówkę. Obiecał jej, że będzie tylko kilkoro bliskich

przyjaciół. Powiedziała „tak”, wiedząc, że odmowa pociągnie za sobą dobrze znany scenariusz. Zapamiętała szorowanie podłóg w domu okraszone samooskarżeniami, przeklinaniem własnego tchórzostwa. No i obrazy słodkiej twarzy Rory'ego.

Party nie było taką udręką, jak się wnet okazało. Było tylko dziewięcioro gości *in toto*.

Było jej to o tyle łatwiej znieść, że wszystkich z grubsza znała. Nikt nie oczekiwał, aby swoją osobą uświetniła wieczór. Miała tylko klaniać się i uśmiechać, kiedy wypadało. A Rory, z ręką wciąż zabandażowaną, był w swoim najlepszym, pełnym szczerości *bonhomie*. Zdawało się jej nawet, że Neville, jeden z kumpli Rory'ego, mrugał do niej znacząco zza swoich okularów. Podejrzenie to sprawdziło się w środku przyjęcia, kiedy Neville przeniósł się w jej sąsiedztwo i zapytał, czy interesuje się hodowlą kotów. Powiedziała, że nie, ale zawsze pociągają ją nowe doświadczenia. Wydawał się uszczęśliwiony. Pod tym wątlym pretekstem poił ją likierem przez resztę wieczoru. Już o wpół do dwunastej niezłe szumiało jej w głowie, ale była szczęśliwa. Nawet najmniej śmieszne zdania wywoływały w niej ataki śmiechu gwałtowniejsze, niż gdyby poddawana była najbardziej wymyślnym łaskotkom.

Krótko po północy Julia powiedziała, że jest zmęczona i że chciałaby już pójść spać.

Wszyscy odczytali to jako sugestię, by zakończyć imprezę, ale Rory nie chciał do tego dopuścić. Zerwał się i nim ktokolwiek zdążył zaprotestować, podolewał wszystkim gościom alkoholu. Kirsty była pewna, że zauważyła grymas niezadowolenia na twarzy Julii. Wkrótce jednak rozchmurzyła się, choć powieki szybko zaczęły jej opadać. W końcu raz jeszcze powiedziała dobranoc tłumacząc, że przygotowywanie pasztetu na wieczór tak ją zmęczyło, i poszła spać.

Ci, którzy są piękni i bez skazy, z łatwością przeżywają swoje szczęście. Ta prawda wydawała się Kirsty niepodważalna. Jednak dziś wieczorem alkohol sprawił, że zastanawiała się, czy nie zaślepiła jej zazdrość. Być może ci bez skazy są też na swój sposób smutni.

Jej skołowana głowa z trudem oddawała się takim rozważaniom i kiedy Rory zaczął opowiadać znany dowcip o jezuitce i gorylu, zakrztusiła się ze śmiechu, zanim Rory dotarł do pointy.

Na górze, Julia słyszała kolejny wybuch śmiechu. Rzeczywiście była zmęczona, jak twierdziła, ale to nie gotowanie tak ją wykończyło. Chciała uwolnić się od podpitych głupków, których Rory zaprosił na dzisiejszy wieczór. Kiedyś nazywała ich przyjaciółmi. W

istocie byli pretensjonalnymi półgłówkami, opowiadającymi nudne dowcipy. Zabawiała ich przecież przez kilka godzin, ale miała już tego dosyć. Teraz chciała się ochłodzić i pobyć w ciemności.

Kiedy tylko otworzyła drzwi nie zamieszkałego pokoju, zauważyła, że nie jest tu tak spokojnie jak poprzednio. Światło, padające z nie osłoniętej żarówki na korytarzu, oświetliło podłogę, na którą pociekła krew Rory'ego. Teraz deski podłogi były czyste, jakby je ktoś wyszorował. Poza zasięgiem światła z korytarza pokój tonął w mroku. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi. Zamek zatrzasnął się za nią.

Ciemność była nieprzenikniona. Radowało ją to. Wzrok jej zatopił się w mroku. Chłód ścian działał naprawdę kojąco.

Nagle, z drugiego końca pokoju, dobiegł ją jakiś odgłos.

Nie był głośniejszy niż szelest karaluchów biegających pod podłogą. Odgłos ustał po kilku sekundach. Wstrzymała oddech. Dźwięk pojawił się znowu. Tym razem wydawało się jej, że odgłosy mają swój rytm. Jakiś prymitywny kod.

Na dole goście śmiali się do rozpuku. Hałas rozbudził w niej gorycz. Czego by nie zrobiła, żeby uwolnić się od takiego towarzystwa?



Przełknęła ślinę i przemówiła do ciemności.

- Słyszę was - powiedziała nie mając pewności, dlaczego wypowiada te słowa, ani do kogo je kieruje.

Skrobanie karaluchów na chwilę ustało, a potem ze zdwojoną energią rozpoczęło się na nowo. Odsunęła się od drzwi i zbliżyła do miejsca, z którego dochodził odgłos. Trwał nadal, jakby ktoś ją wzywał.

Łatwo było zgubić drogę w ciemności. Dotarła do ściany szybciej, niż tego oczekiwała. Uniosła w górę ręce i zaczęła ocierać dłonie o gipsową powierzchnię. Ściana nie była jednakowo chłodna. Odnalazła miejsce, według jej kalkulacji gdzieś w połowie drogi między drzwiami a oknem, gdzie chłód był tak intensywny, że musiała oderwać ręce.

Skrobanie ustało.

Przez chwilę niemal pływała w mroku i ciszy, zupełnie zdezorientowana. I wtedy coś poruszyło się bezpośrednio, przed nią. Było to chyba jednak złudzenie. Przecież nie mogła niczego zauważyć w ciemności. Ale następny widok zdumiał ją.

Ściana świeciła lub raczej coś płonęło za nią. Zimna iluminacja sprawiała, że cegły nabrały niematerialnego charakteru. Co więcej, wydawało się, że ściana się rozłazi; jej segmenty przesuwały się i zmieniają swoje położenie jakby za dotknięciem magicznej różdżki. Naoliwione płaszczyzny rozsuwały się ustępując miejsca ukrytym skrzyniom, których ścianki z kolei zapadały się, odkrywając coraz to nowe kryjówki. Patrzyła jak zaczarowana. Nie mrugała oczami w obawie, że utraci choć cząstkę tego przedziwnego widowiska. Kawałki światła rozpadły się na jej oczach.

Wtedy, znenacka, gdzieś w tym skomplikowanym systemie przesuwających się fragmentów, zauważyła (albo zdawało się jej to) jakiś inny ruch. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że wstrzymywała oddech odkąd pokaz się rozpoczął. Zaczynała majaczyć. Usiłowała zrobić wydech, by następnie wciągnąć w płuca nową porcję świeżego powietrza, ale ciało nie stosowało się do tych prostych instrukcji. Gdzieś w jej wnętrzościach zapłonął ognik paniki.

Hokus-pokus zatrzymał się teraz. Jedna jej część podziwiała dźwięki delikatnej muzyki dobywającej się ze ściany, ale pozostałą częścią „ja” walczyła ze strachem, który z wolna podchodził jej do gardła.

I znowu usiłowała zrobić wydech i wdech, ale czuła się, jakby jej ciało było martwe, a ona tylko z niego wyglądała na zewnątrz, niezdolna do oddychania, patrzenia, przełykania.

Widowisko rozsuwających się ścian dobiegło końca. Zobaczyła, jak coś przemknęło poprzez cegły - zbyt chropawe, by być tylko cieniem, ale też i zbyt materialne, by uznać je za zwid.

Był to człowiek albo coś, co kiedyś było człowiekiem. Jego ciało było porozdzierane na części i pozszywane znowu. Większości kawałków brakowało, albo też były powykręcane i szerniałe, jakby popalone. Było w tej kupie kawałków oko, łypiące na nią złowieszczo. Był

i pęcherz przyczepiony do kręgosłupa. Kręgi odarte z mięśni. Do tego jakieś trudne do dokładnego zidentyfikowania fragmenty ciała. Oto i cała postać. Ale mimo wszystko to coś żyło. Oko, mimo że umiejscowione w kupie zgnilizny, obserwowało Julię cal po calu, z góry na dół.

Nie czuła jednak w jego obecności strachu. Rzecz ta była znacznie słabsza od niej.

Poruszyła się w swojej celi, żeby usadowić się odrobinę wygodniej. Ale było to nieosiągalne dla stworzenia, które nosiło swoje postrzępione nerwy na krwawiącym pałaku. Każde ułożenie ciała musiało przynosić ból. Julia wiedziała to na pewno. Zrobiło się jej żal tej istoty.

A ze współczuciem przyszło rozładowanie napięcia. Odetchnęła głęboko, wsysając w siebie powiew życia. Odżył wreszcie złakniony tlenu mózg.

Kiedy Julia starała się nawdychać, ile tylko mogła, stwór przemówił. Dziura, rozwarłszy się

gdzieś na odartej ze skóry głowie potwora, wydobyła z siebie jedno, bezdźwięczne niemal słowo.

Słowem tym było jej imię.

- Julia - usłyszała z przerażeniem.

\* \* \*

Kirsty odstawiła swoją szklankę i spróbowała wstać.

- Dokąd idziesz? - zapytał ją Neville.

- A jak myślisz? Dokąd mogę iść? - odpowiedziała, z wysiłkiem opanowując rozluźniony alkoholem język.

- Czy mogę w czymś pomóc? - zagadnął Rory. Powieki mu się zamykały, a na twarzy malował się błogi wyraz upojenia.

- Jestem wyćwiczona w czynnościach domowych - odpowiedziała ni stąd, ni zowąd Kirsty, wzbudzając u zgromadzonych niepohamowany śmiech. Była zadowolona z siebie, jednak dowcip nie należał do jej silnych stron. Chwiejnym krokiem ruszyła w kierunku drzwi.

- To jest ostatni pokój na prawo, na końcu korytarza - poinformował ją Rory.

- Przecież wiem - powiedziała i wyszła z pokoju.

Nie przepadała za uczuciem zamroczenia alkoholem, ale dzisiaj czuła się w tym stanie świetnie. Nogi miała jak z waty, czuła się lekko. Być może jutro pożałuje tego, że bez oporów wlewała dziś w siebie alkohol. Ale do jutra było jeszcze sporo czasu. Jeśli chodzi o dzisiejszą noc, mogła nawet latać.

Odnalazła drogę do łazienki i ulżyła pęcherzowi. Potem spryskała twarz zimną wodą.

Była gotowa, żeby rozpocząć drogę powrotną do pokoju.

Zrobiła trzy kroki wzdłuż korytarza, kiedy zdała sobie sprawę, że ktoś tam wyłączył światło, podczas gdy była w łazience. Ten sam ktoś stał teraz o kilka kroków od niej.

Zatrzymała się.

- Cześć... - powiedziała. Czy to hodowca kotów poszedł za nią na górę w nadziei, że udowodni, iż jest facetem z jajami? - Czy to ty? - zapytała nie zdając sobie sprawy z bezowocności takiego formułowania pytania.

Odpowiedzi jednak nadal nie było. Poczwała się nieswojo.

- No przestań... - powiedziała lekkim tonem, licząc, że zamaskuje w ten sposób swój niepokój. - Kto tam jest?

- To ja - powiedziała Julia. Miała jednak dziwny głos. Gardłowy; może płaczący.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytała ją Kirsty. Żałowała, że nie może zobaczyć twarzy Julii.

Tak - padła odpowiedź. - Dlaczego miałabym czuć się źle?

Wypowiadając te kilka słów, Julia wzięła się w garść i zaczęła odgrywać rolę osoby beznamiętnej. Głos nabrał czystej barwy, podwyższył się.

- Jestem tylko trochę zmęczona - kontynuowała. - Zdaje się, że dobrze się tam na dole bawicie.

- Czy nie dajemy ci spać?

- Broń Boże! Nie - głos zaprzeczył - po prostu szłam właśnie do łazienki.

Zamilkła na chwilę i potem dodała:

- Wracaj na dół i bawcie się dobrze.

Teraz Kirsty posunęła się kilka metrów do przodu w stronę Julii. W ostatniej chwili Julia zesłała jej z drogi, unikając najdrobniejszego choćby kontaktu.

- Śpij dobrze - powiedziała Kirsty schodząc ze schodów.

Ale ze strony, gdzie tkwił cień, nie usłyszała już odpowiedzi.

\* \* \*

Julia nie spała dobrze. Ani tej nocy, ani żadnej już następnej.

To, co widziała w pokoju na górze, co słyszała, i, w końcu, co czuła - wystarczyło, by już nigdy nie mogła zaznać spokoju. Zaczynała wierzyć w to, czego tam doświadczyła.

On tam był. Frank, brat Rory'ego tam był. W domu. Był tam teraz i przez cały czas, od dawna! Odcięty od świata, w którym żyła, oddychała, ale wystarczająco blisko, by utrzymywać wątki, żaloszny kontakt. Pytania na ten temat kłębiły się w jej głowie. Julia nie mogła na nie znaleźć żadnej odpowiedzi. Człowiecze resztki w ścianie nie miały ani siły, ani czasu, by wyjaśnić swój stan.

Wszystko, co postać zdołała powiedzieć, zanim ściany zaczęły się na powrót zamykać, a tynk i farba znowu pokryły je, ograniczyło się do kilku z trudem wypowiedzianych słów:

- Julia. - A potem po prostu: - To ja, Frank.

Potem Frank wypowiedział jeszcze tylko jedno słowo: „Krew”.

Potem zniknął całkowicie. Pod Julią ugięły się nogi. Na pół opadła, na pół wryła plecami w ścianę po przeciwnej stronie pokoju. Kiedy odzyskała świadomość, nie było już tajemniczego światła. Nie było też ledwie żywej postaci okutanej w szmaty, kryjącej się w ścianie. Świat rzeczywisty znów objął władzę nad sytuacją.

Ale być może nie do końca jednak. Przecież Frank stale tam był, w pokoju na górze.

Co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Może nie był widoczny, ale czuła jego obecność.

Był w pułapce pomiędzy sferą zajmowaną przez nią i jakimś innym miejscem: miejscem, skąd dochodziło bicie dzwonów. Miejscem spowitym w ciemnościach. Czy Frank umarł? Czy o to chodzi? Mimo że wchłonięty zeszłego lata przez opustoszały pokój, jednak pozostał tam jego duch, czekający na egzorcyzmy? A jeśli tak, to co się stało z jego ziemską powłoką?

Tylko dalszy kontakt z Frankiem, albo z jego resztkami, dać mógłby odpowiedź.

Nie miała wątpliwości, w jaki sposób może mu użyczyć swoich sił. Dał jej jasną wskazówkę.

Powiedział „krew”. Nie wypowiedział tego słowa jak oskarżenie, ale jak żądanie.

Rory wykrwawił się w tym pokoju, a plamy później zniknęły. W jakiś sposób duch Franka - jeśli to był on - nasycił się krwią brata i w ten sposób zdobyta siła starczyła, by wydostał się ze swojej celi i nawiązał jakiś kontakt ze światem zewnętrznym. Co zatem jeszcze mogła zrobić, jeśli nie zwiększyć ilości pożywienia?

Myślała o uściskach Franka, o jego szorstkości, uporze. Czegóż by nie zrobiła, by znów przeżyć tamte dawne z nim chwile? I istniała nadzieja, że będzie to możliwe. A jeśli tak i jeśli mogłaby mu dać to, czego potrzebował - pożywienia, czy nie zaskarbiłaby sobie jego wdzięczności? Czy nie byłby potem jej ulubieńcem; uległym albo i brutalnym, w zależności od jej kaprysu? Myśli nie dawały jej zasnąć. Naruszyły spokój, ale i wyгнаły smutek z jej serca. Zdała sobie sprawę, że przez cały czas była zakochana i za nim tęskniła. Jeśli krew miałaby go jej zwrócić, dostanie zatem krwi. Bez względu na konsekwencje.

\* \* \*

W ciągu następnych dni nauczyła się na nowo uśmiechać. Rory wziął tę jej odmianę za dobrą monetę. Sądził, że zmiana nastroju wynika ze szczęścia, jakie dla niej oznacza nowy dom. Jej dobry humor wywoływał i u niego podobną reakcję. Zabierał się do urządzania domu z nową energią.

Powiedział, że wkrótce zabierze się do pracy na piętrze. Zlokalizuje wówczas źródło wilgoci w wielkim pokoju i przemieni go w sypialnię dla swoje księżniczki. Ucałowała go w policzek, gdy o tym mówił, ale powiedziała, że się jej nie śpieszy. Mówiła, że sypialnia, którą mają teraz, jest zupełnie odpowiednia. Rozmowa o sypialni sprawiła, a chwycił ją za szyję, przyciągnął do siebie i zaczął szeptać dzieciennym głosem do jej ucha różne nieprzyzwoitości.

Nie odmówiła. Potulnie poszła z nim na górę i pozwoliła mu rozebrać się. Tak, jak to lubił.

Rozpinał guziki brudnymi od farby palcami. Udawała, że ceremonia rozbierania podnieca ją, ale dalekie to było od prawdy.

Jedyną rzeczą, która wzbudzała w niej choć trochę podniecenia, kiedy leżała na trzeszczącym łóżku z jego cielskiem między nogami, było wyobrażanie sobie, że to Frank się z nią kocha.

Kilkakrotnie jego imię pchało się jej na usta. Za każdym razem nie pozwalała im go jednak wymówić. W końcu otwarła oczy, by powrócić do szarej rzeczywistości. Rory ślinił jej twarz pocałunkami. Na dotyk jego ust cierpły jej policzki.

Zdała sobie sprawę, że zbyt często nie będzie w stanie tego z Rory'm robić. Zbyt wiele wysiłku kosztowało ją udawanie posłusznej żony: serce by jej pękło.

Kiedy więc leżała pod nim, a wrześnieowy wietrzyk, dostawszy się przez otwarte okno do pokoju, owiewał jej twarz, zaczęła knuć spisek. Spisek dla zdobycia krwi.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Czasami wydawało mu się, że wieki całe minęły, kiedy spoczywał w ścianie. Wieki, które, jak się może później okazać, są tylko przemijającymi godzinami albo nawet minutami.

Teraz wszystko się zmieniło; miał szansę stąd uciec. Jego duch wpadał w radosny nastrój na samą myśl o tym. Była to wprawdzie krucha szansa, co do tego nie chciał siebie samego okłamywać. Było wiele powodów, z których całe przedsięwzięcie mogło spalić na panewce. Po pierwsze, Julia. Pamiętał ją jako pospolitą, wypindrzoną kobietę, której wychowanie uniemożliwiało przeżycie prawdziwej rozkoszy. Miał ją, oczywiście. Jeden raz.

Pamiętał ten dzień, pośród tysięcy, w których przeżywał akt miłości, z pewną satysfakcją.

Opierała się mu tylko tyle, ile wymagała tego jej próżność. A potem oddała mu się z tak gwałtownym zapalem, że prawie stracił nad sobą panowanie.

W innych okolicznościach zdmuchnąłby ją spod nosa niedoszłemu mężusiowi, ale braterska solidarność nie zezwalała na to. Zresztą w tydzień lub dwa miałby jej już dosyć i pozostałby z kobietą, której ciało nie stanowiłoby żadnej dla niego atrakcji, a dodatkowo miałby na karku brata. Wszystko to nie było warte zachodu.

Poza tym, były jeszcze nowe światy do zdobycia. Następnego dnia pojechał na Wschód: do Hong Kongu i Sri Lanki. W pogoni za bogactwem i przygodą. Znalazł je.

Przynajmniej na jakiś czas. Wcześniej lub później wszystko przepłynęło mu między palcami.

Z czasem zaczął się zastanawiać, czy to okoliczności pozbawiały go tego wszystkiego, co cenne w życiu, czy też on sam nie potrafi tego dobra utrzymać. Pogoń myśli, skoro tylko rozpoczęła się, przybierała coraz większe tempo. Gdziekolwiek się nie pojawił, znajdował

dowody tej przykrej prawdy: nie osiągnął ani nie spotkał niczego w swoim życiu. Ani żadnej osoby, ani stanu ducha czy ciała. Gotów był dla uzyskania tego na największe nawet cierpienia.

Rozpoczęła się droga po równi pochyłej. Przeżył trzy miesiące depresji i rozgoryczenia na granicy samobójstwa. Ale nawet odkryty w ten sposób nihilizm nie przyniósł mu ulgi. Jeśli nie istniało nic, co warte byłoby życia, nie istniało też nic, dla czego warto byłoby umierać. Błąkał się między tymi skrajnościami, aż myśli ustąpiły wizjom jakiegokolwiek narkotyku, jaki wpadał mu w rękę.

Jak dowiedział się o kostce Lemarchanda? Już nie pamiętał. Może w knajpie, może w ryszotku, z ust jakiegoś samotnika. Wówczas było to dla niego coś wielkiego: marzenie o krainie rozkoszy, w której ci, których zmęczyły płochy przyjemności człowieczego bytu, mogli odkryć nowy wymiar rozkoszy. Jaka miała być droga do tego rajy? Było ich kilka, jak mu mówiono. Mapy przestrzeni między tym, co prawdziwe, i tym, co prawdziwsze, wykonane przez podróżników, których kości od dawna już kryła ziemia. Jedna z takich map miała się znajdować w piwnicach watykańskich, ukryta w

kodeksie teologicznych rozpraw, nie czytanych od czasów Reformacji. Inna, w formie dzieła origami, miała być rzekomo w posiadaniu markiza de Sade, który użył jej, będąc więźniem Bastylli, jako zapłaty strażnikowi za papier, na którym napisał „Sto dwadzieścia dni Sodomy”. Jeszcze inna była dziełem rzemieślnika wytwarzającego pozytywki, zwanego Lemarchandem. Była to właśnie pozytywka tak zaprojektowana, że można było bawić się nią przez połowę życia i jeszcze nie dostać się do jej środka.

Opowieści. Opowieści. Mimo że nauczył się nie wierzyć już w nic, było mu niezwykle trudno wybić sobie z głowy tę, trudną do sprawdzenia, prawdę. Mijał czas, a fantazje wciąż szumiały mu w głowie.

Było to w Düsseldorfie, dokąd pojechał przemycając heroinę. Tam znów usłyszał historię kostki Lemarchanda. Jego ciekawość raz jeszcze wystawiona została na próbę. Tym razem jednak tak długo tropił historyjkę, aż znalazł jej źródło. Człowiek nazywał się Kircher, choć pewnie przyznawałby się jeszcze do wielu innych nazwisk. Tak, Niemiec potwierdził istnienie kostki. Owszem, znalazł sposób udzielenia Frankowi pomocy w zdobyciu tajemniczej pozytywki. Za jaką cenę? Drobne uprzejmości; tu i tam. Nic szczególnego. Frank wyświadczył uprzejmości, umył ręce i upomniał się o zapłatę.

Kircher dał mu wskazówki, w jaki sposób najlepiej złamać pieczęć na wynalazku Lemarchanda. Instrukcje były częściowo praktyczne, a częściowo metafizyczne. Rozwiązanie zagadki polega na podróżowaniu. Tak powiedział. Kostka, jak się zatem wydawało, nie była mapą drogi, ale drogą samą w sobie.

To nowe uzależnienie szybko wyleczyło go z narkotyków i alkoholu. Być może był inny sposób, by tak nagiąć świat, żeby odpowiadał jego marzeniom.

Powrócił do domu na Lodovico Street. Do opustoszałego domu, którego ściany były teraz jego więzieniem. Przygotował się do podróży. Tak, jak mu to wyłożył Kircher.

Przygotował się na przyjęcie wyzwania, jakim było rozwiązanie Konfiguracji Lemarchanda.

Nigdy jeszcze w swoim życiu nie był tak wstrzemięźliwy ani tak skupiony na osiągnięciu tylko jednego celu. Przez kilka dni, gdy zgłębiał tajemnicę kostki, prowadził życie, które mogłoby zawstydzić świętego. Całą swą energię spożytkowywał na przygotowania do ceremonii, która miała wkrótce nastąpić.

Był arogancki w postępowaniu z Obrządkiem Blizny. Teraz to widział. Ale oni byli wszędzie - w świecie i poza nim. Moce, które zachęcały do takiej arogancji, czyniły tak, bo nią handlowały. Ale to by nie wystarczyło, żeby go pognębić. Prawdziwy błąd polegał na przekonaniu, iż jego definicja przyjemności pokrywa się z tą, którą uznają Cenobici.

Było zatem tak, że przynieśli mu nieobliczalne cierpienia. Przedawkowali ze zmysłowością do tego stopnia, że jego świadomość niemal popadała w obłąd, a potem zaserwowali mu doświadczenia, na których wspomnienie jeszcze dziś dostaje konwulsji. Oni zaś to właśnie nazywali przyjemnością. I być może o to im chodziło. A być może nie. Z ich sposobem myślenia nie można było być pewnym niczego. Byli beznadziejnie mętni i niejednoznaczni. Nie uznawali żadnych nagród i kar, dzięki którym mógłby chociaż liczyć na zelźnienie tortur. Nie obchodziło ich też żadne błaganie o litość. Próbował tego przez wiele tygodni i miesięcy dzielących dzień dzisiejszy od momentu rozwiązania zagadki.

Po tej stronie Schizmy nie było miejsca na współczucie. Tutaj królowały lamente i szyderstwo. Czasami (przez godzinę wolną od horroru lub nawet przez czas jednego oddechu) zdarzało mu się płakać ze szczęścia. Panował tu jednak śmiech: pojawiający się paradoksalnie w obliczu jakiejś kolejnej tragedii, modelowanej przez Inżyniera, w imię nieszczęścia.

Wymyślność tortur rosła. Musiały zostać kiedyś przygotowane przez umysł dokładnie rozumiejący, co to znaczy cierpieć. Więźniowie mieli prawo wglądu w świat, w którym niegdyś żyli. Ich cele -kiedy nie przeżywali akurat żadnych przyjemności - umieszczone były w miejscach z widokiem dokładnie na to samo miejsce, w którym rozpracowali kostkę. W

przypadku Franka był to pokój na piętrze, pod numerem pięćdziesiąt pięć na Lodovico Street.

Przez większą część roku widok był nieciekawym. Nikt przecież nie zaglądał do domu.

A potem wprowadzili się oni: Rory i śliczna Julia. I znowu zaczął mieć nadzieję...

Słyszał szepty tu i tam, że istnieją drogi ucieczki; bramy w systemie, które pozwalały na skupienie się w sobie i, dzięki sprytowi, przecisnąć się do pokoju, z którego się przyszło.

Jeśli więzień zdołał uciec, nie było sposobu, aby hierofanty poszły w ślad za nim. One musiałyby zostać wezwane na tę stronę Schizmy. Bez takiego zaproszenia musiały pozostać na progu jak psy, drapiąc i drapiąc, ale bez możliwości wejścia. Dlatego ucieczka, jeśli zostałaby uwieńczona sukcesem, przyniosłaby dekret uwolnienia, a więc całkowite rozwiązanie błędnego małżeństwa zawartego przez więźnia. Nie było w tym zresztą żadnego ryzyka. Jaka kara mogłaby być gorsza niż myśl o bólu bez nadziei na odzyskanie wolności?

I los się do niego uśmiechnął. Niektórzy więźniowie opuścili świat, nie pozostawiając jakiegokolwiek znaku, który mógłby posłużyć do odtworzenia ich ciał. On zaś pozostawił. Jego ostatnią czynnością, jeśli nie liczyć krzyku, było opróżnienie jąder na podłogę. Martwa sperma stanowiła skromną pamiątkę istoty jego samego. Było to jednak wystarczająco dużo. Kiedy drogi braciszek Rory (słodki Rory) pozwolił szpachelce zranić się, umożliwiło to Frankowi skorzystać z jego bólu. Znalazł jakiś punkt zaczepienia dla siebie.

Teraz wszystko zależało od Julii.

Czasami, męcząc się wewnątrz ściany, myślał, że Julia złęknie się i pozostawi go na pastwę tortur. Albo też przemyśli swoją wizję i dojdzie do wniosku, że było to przywidzenie.

Jeśli tak będzie, nie ma dla niego ratunku. Nie miał dość energii, by powtórzyć widowisko, które zaprezentował Julii.

Ale były jednak oznaki nadziei. Na przykład to, że powracała do pokoju przy dwóch czy trzech okazjach i po prostu stała tam, w milczeniu obserwując ścianę. Nawet wyszeptała kilka słów, kiedy była ostatnio. Złapał jednak tylko ich urywane strzępy. Było wśród nich słowo „tutaj”. Było też „czekam” i „wkrótce”. Dość, by powstrzymać go od rozpaczki.

Miał też inny powód do optymizmu. Ona była stracona, czyż nie? Widział to w jej twarzy na dzień przed tym, jak Rory skaleczył się. Była razem z Rory'm w pokoju. Smutek i frustracja bez wątpienia malowały się na jej twarzy.

Tak. Ona była stracona. Poślubiła człowieka, którego nie kocha, i nie widzi drogi wyjścia.

No tak, tak to jest. Mogli zbawić siebie nawzajem; poeci twierdzą, że tak kochankowie winni czynić. Był tajemnicą, był ciemnością, był wszystkim, o czym marzyła. I jeśli tylko go uwolni, będzie jej służył - o tak - aż jej rozkosz osiągnie próg w taki sposób, jak osiąga się wszystkie progi; gdzie silny staje się silniejszy, a słabszy popada w całkowitą słabość.

Rozkosz wówczas stawała się bólem i na odwrót. On znał to na tyle dobrze, że mógł czuć się panem w tym świecie. Miał nadzieję, że z nią będzie w nim mieszkał na zawsze.

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

W trzecim tygodniu września zrobiło się zimno. Arktyczny chłód przyniósł z sobą ostry wiatr, pozbawiając drzewa liści w przeciągu zaledwie kilku dni.

Chłód zmuszał nie tylko do zmiany stroju, ale także do zmiany planów. Zamiast pieszo, Julia udała się do miasta samochodem. Pojechała do centrum wczesnym popołudniem.

Znalazła bar zatłoczony ludźmi w porze lunchu. Mimo że panował dość duży ruch, nie było tu hałaśliwie.

Klienci przychodzili i wychodzili. Młodzi, elegancko ubrani prawnicy i księgowi rozprawiali o swoich ambicjach i zamierzeniach. Kilku takich, z których tylko garnitury czyniły bogaczy, i, co bardziej interesujące, nieco samotnych ludzi popijających drinki. Julia zebrała niezły plon spojrzeń oglądających się za nią mężczyzn głównie tych gogusiów w garniturach. Ale dopiero po godzinie, kiedy przerwa na lunch w wielu firmach kończyła się i trzeba było wracać do pracy, dostrzegła w lustrze, że ktoś bacznie się jej przygląda. Przez kilka minut badali się wzrokiem. Julia nadal popijała, nie okazując najmniejszego zainteresowania. I nagle mężczyzna wstał i podszedł prosto do jej stolika.

- Samotne popijanie? - zapytał.

Chciała uciec. Serce biło jej tak głośno, że była pewna, iż nieznajomy je słyszy. Ale nie. Zapytał, czy ma ochotę na jeszcze jednego drinka. Powiedziała, że owszem. Wyraźnie zadowolony, że jego szturm nie został odparty, zamówił dwa podwójne i usiadł obok. Miał

czerstwą, zarumienioną twarz i przynajmniej o jeden rozmiar za duży ciemnogrnatowy garnitur. Tylko oczy zdradzały jego nerwowość. Chwilami patrzył na nią, ale co sekundę odrywał od niej wzrok i obrzucał badawczym spojrzeniem wnętrze baru.

Nie będzie prowadziła z nim żadnych poważnych rozmów, to już zdecydowała. Nie chciała wiedzieć o nim zbyt wiele. Jeżeli będzie trzeba, najwyżej zapyta go o zawód i stan cywilny. Poza tym, niech będzie po prostu ciałem.

Jak dotąd nie było niebezpieczeństwa spowiedzi. Spotykała już kostki brukowe, które były bardziej rozmowne. Uśmiechał się raz po raz krótkim, nerwowym grymasem, ukazującym zęby zbyt piękne, by mogły być prawdziwe. Zaproponował kolejne drinki.

Odmówiła tym razem, ale zapytała, czy ma czas na kawę. A on na to, że ma.

- Dom jest tylko o kilka minut stąd - odpowiedziała i poszli do samochodu. Prowadząc wóz zastanawiała się, dlaczego poszło jej tak łatwo z tą górą miecha siedzącą obok niej.

Czyżby ten mężczyzna ze sztucznymi zębami i beznamiętnymi oczami był stworzony do roli ofiary? Być może. Nie bała się jednak niczego, bo wszystko było zbyt łatwe do przewidzenia.

Kiedy przekręciła klucz w zamku i weszła do środka, zdało się jej, że słyszy jakiś hałas w kuchni. Czyżby Rory wrócił do domu wcześniej, może źle się poczuł? Zawołała. Nie było odpowiedzi. Dom był pusty. Prawie!

Od samego progu, cała rzecz była dokładnie ukartowana. Zamknęła drzwi. Mężczyzna w granatowym garniturze wpatrywał się w swoje wypielęgnowane dłonie i czekał, aż Julia go ugości.

- Czasami jestem bardzo samotna - powiedziała, przemykając obok faceta. Wymyśliła sobie to zdanie wczoraj wieczorem, leżąc w łóżku.

Skinął w odpowiedzi. Na jego twarzy malował się strach i niepewność; po prostu nie mógł uwierzyć, że spotyka go takie szczęście.

- Czy chcesz jeszcze jednego drinka? - zapytała go. - A może od razu pójdziemy na górę?

Przybysz skinął znowu.

- Myślę, że już dość piłem.

- A więc na górę.

Zrobił niezdecydowany ruch w jej stronę, jakby ją chciał pocałować. Nie miała jednak chęci na jego zaloty. Umknąwszy mu, zgrabnie wstąpiła na stopnie schodów.

- Ja poprowadzę - powiedziała. Mężczyzna potulnie podążył za nią.

U szczytu schodów spojrzała na niego do tyłu i zobaczyła, jak chustką do nosa ociera sobie pot z czoła. Zaczekała aż do niej dołączy i potem poprowadziła go do pokoju.

Drzwi stały otworem.

- Wejdz, proszę - powiedziała.

Posłuchał polecenia. Skoro znalazł się w środku, musiał przez kilka chwil przyzwyczajać się do mroku. Jeszcze trochę trwało, zanim dokonał odkrycia:

- Przecież tu nie ma łóżka.

Julia zamknęła drzwi i włączyła światło. Na drzwiach zawiesiła jedną z marynarek Rory'ego. W kieszeni ukryty był nóż.

A mężczyzna znowu:

- Tu nie ma łóżka.

- A co, podłoga ci się nie podoba? - odparła.

- Na podłodze?

- Lepiej ściągnij marynarkę. Jest ci za gorąco.

- O, tak - zgodził się, lecz ani drgnął. Julia podeszła do niego i zaczęła rozwiązywać mu krawat. Trząśł się, biedna owieczka! Biedny baranek prowadzony na rzeź. Kiedy zdjęła mu krawat z szyi, począł ściągać marynarkę.

Zastanawiała się, czy Frank to widzi. Jej oczy wędrowały raz po raz na ułamek sekundy w stronę ściany.

Tak - pomyślała. - On tam jest. I widzi. On wie. Oblizuje usta i drży z niecierpliwości.

„Baranek” przemówił:

- Dlaczego ty nie... - zaczął. - Dlaczego ty też...

- Czy chciałbyś zobaczyć mnie nagą? - droczyła się z nim. Oczy pojaśniały mu z podniecenia.

- Tak - powiedział szybko. - Tak, chciałbym.

- Bardzo?

- Bardzo.

Rozpinał guziki swojej koszuli.

- Może zobaczysz - powiedziała. Uśmiechnął się do niej cierpko.

- Czy to jakaś gra? - zagadnął ją znowu.

- Jeśli tego chcesz - powiedziała i pomogła mu wydostać się z koszuli. Jego ciało było blade jak wosk. Klatka piersiowa wydatna, brzuch też. Położyła mu dłonie na twarzy.

Pocałował koniuszki jej palców.

- Jesteś piękna - powiedział, wyrzucając z siebie słowa z wysiłkiem, jakby nabrzmiewały mu w gardle od wieków.

- Naprawdę?

- Przecież wiesz. Jesteś śliczna. Jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziała i odwróciła się do drzwi. Słyszała jak za jej plecami facet rozpina pasek, a spodnie zsuwają się mu z nóg.

Tylko tyle i nic więcej - pomyślała. Nie miała ochoty oglądać go w adamowym stroju.

Miała dość patrzenia na niego w tym stanie.

Sięgnęła do kieszeni w marynarce.

- O Boże - baranek powiedział z nagłą. Nie wyjęła zatem noża, tylko odwróciła się i zapytała:

- O co chodzi?

Jeśli obrączka na palcu nie zdradziłaby jego statusu do tej pory, poznałaby w nim żonatego mężczyznę po gaciach, które nosił - workowatych i spranych. Bieliźnie kupionej mu pewnie przez żonę, która od dawna nie myślała o nim jako o kochanku.

- Myślę, że muszę się wysiusiać - powiedział. - Zbyt wiele whisky - wyjaśnił.



Wzruszył z lekka ramionami i skierował się w stronę drzwi.

- Tylko na chwileczkę - powiedział do jej pleców. Ale jej ręka trafiła z powrotem do kieszeni w marynarce, zanim padły te słowa. Postąpił w kierunku drzwi. Julia odwróciła się do niego z rzeźnickim nożem w dłoni.

Nie był dość bystry, by spostrzec ostrze. Dopiero w ostatniej chwili na jego twarzy pojawił się okropny wyraz, zdziwienia raczej niż strachu. Był to jednak krótkotrwały grymas.

W sekundę później ostrze tkwiło w jego wnętrznościach, tnąc brzuch jak masło. Julia wyjęła nóż i wpackowała mu go powtórnie w ciało.

Buchnęła krew. Wydawało się jej, że pokój zaczął się chwiać, a cegły wpadły w drżenie na widok wylewającego się z ran strumienia.

Przez sekundę podziwiała ten fenomen, ale już w następnej chwili baranek przeklął szpetnie. Zamiast jednak ucieczki spod noża, jak tego oczekiwała Julia, facet zrobił krok w jej stronę i wydarł jej nóż z ręki. Nóż poleciał po podłodze i zatrzymał się na ścianie. Teraz facet rzucił się na nią.

Chwycił ją za włosy i pociągnął. Wydawało się, że nie chce jej atakować, ale raczej szuka drogi ucieczki - skoro tylko Julia usunęła się spod drzwi, wypuścił pęk jej włosów z dłoni. Opadła na ścianę patrząc jak mężczyzna mocuje się z klamką, a drugą ręką trzyma się za poraniony brzuch.

Teraz działała z szybkością pantery. Szybko podbiegła do miejsca, gdzie upadł nóż i znów rzuciła się na swoją ofiarę. Udało mu się uchylić drzwi, ale nie na tyle, by mógł wyjść.

Wbiła nóż w jego zaczerwieniony kark. Zawył z bólu i wypuścił z dłoni klamkę. Wysuwała już narzędzie zbrodni z jego szyi i wbiła je po raz drugi, trzeci i czwarty. Straciła rachubę co do ilości pchnięć. Jej furia była zemstą za to, że facet nie chciał upaść spokojnie i umrzeć po pierwszym ataku. Zataczał się przez moment po pokoju, jęcząc i wyjąc. Krew płynęła gęstym strumieniem po jego torsie i nogach. Wreszcie, kiedy już stracił oddech, padł ciężko na kolana i zwałił się na podłogę.

Tym razem była pewna, że zmysły nie oszukują jej. Pokój, lub też jego duch, odpowiedział miękкими westchnieniami.

W oddali bił dzwon...

Spostrzegła, że baranek nie daje znaku życia. Podeszła do jego ciała i powiedziała:

- Dosyć teraz?

Potem poszła do łazienki umyć twarz.

Idąc korytarzem posłyszała, jak pokój jęczy -nie potrafiła znaleźć lepszego słowa na określenie tych odgłosów. Stała, wahając się czy nie zawrócić. Ale krew zasychała już na jej dłoniach. Lepka maź budziła w niej obrzydzenie.

W łazience zdjęła z siebie bluzkę w kwiaty i najpierw obmyła dłonie, potem ramiona i wreszcie szyję. Woda chłodziła ją i głaskała czule jej ciało. Czuła się świetnie. Uporawszy się z myciem, umyła dokładnie nóż, spłukała umywalkę i wróciła korytarzem do pokoju bez tracenia czasu na wycieranie się czy ubieranie. Nie potrzebowała ani jednego, ani drugiego.

Pokój buchał gorącem, niczym piec hutniczy. Energia martwego mężczyzny pulsowała wokół. Ale nie miała szansy dostać się zbyt daleko. Krew już płynęła strumieniem w stronę ściany, gdzie ukryty był Frank. Ciecz zdawała się wrzeć, pełzając w stronę ściany.

Tam zaś, skoro osiągnęła odpowiedni dystans, zniknęła wsiąkając bezpowrotnie w podłogę.

Julia patrzyła jak zaczarowana. Ale to nie było wszystko. Coś dziwnego działo się ze zwłokami. Pozbawiane były każdego wartościowego elementu. Ciało wpadło w konwulsję, jakby wysysane od środka.

Gazy błędziły po jego bebeczach i w gardle. Skóra wysychała błyskawicznie, wprost przed

oczami Julii. W pewnej chwili sztuczne zęby spadły w tył, do przełyku, a dziąsła je okalające podążyły wnet za nimi.

W kilka chwil było już po wszystkim. Cokolwiek mogło mieć w ciele faceta wartość, zostało zabrane. Resztki nie zaspokoilyby głodu gromady pcheł. Była zauroczona.

Nagle żarówka zaczęła migotać. Spojrzała na ścianę. Była pewna, że ściana zadrży i wypluje ze swych czeluści jej ukochanego. Ale nic takiego nie wydarzyło się. Żarówka zgasła. Była tylko smuga światła wpadającego do pokoju przez nadgryzione już zębem czasu rolety.

- Gdzie jesteś? - zapytała. Ściany pozostały nieme.

- Gdzie jesteś?

Nadal cisza. Temperatura pokoju spadała. Na piersiach Julia dostała gęziej skórki.

Rzuciła okiem na zegarek, wciąż zapięty na resztkach ręki zaszlachtowanego mężczyzny.

Tykał jakby nigdy nic, nie odnotowawszy czasu apokalipsy swego właściciela. Było za dwadzieścia piąta. Rory powinien wrócić za jakieś pół godziny, zależnie od ruchu w mieście.

A Julia miała jeszcze trochę roboty.

Zebrawszy granatowy garnitur i inne rzeczy, zgmiotła je i włożyła w kilka plastikowych worków. Potem poszła po coś większego, żeby zebrać pozostałości po ciele ofiary. Miała nadzieję, że Frank pomoże jej przy tej robocie, ale skoro on się nie pokazywał, wszystko spoczywało na jej barkach.

Kiedy wróciła do pokoju, unicestwianie resztek ciała ofiary wciąż postępowało, ale teraz już znacznie wolniej. Być może Frank wciąż znajdował pokarm, który można było wycisnąć z ciała, choć miała co do tego wątpliwości. Być może jego osłabione ciało nie miało dość siły, by skutecznie wydobywać cenne kąski.

Kiedy popakowała wszystko w torbę, ważyła ona mniej więcej tyle, co małe dziecko.

Zawiązała worek i właśnie miała zejść do samochodu, gdy usłyszała, że drzwi do domu otwierają się.

Odgłosy wyzwoliły w niej panikę, której za wszelką cenę chciała uniknąć. Zaczęła się trząść, a łzy same popłynęły jej z oczu.

- Tylko nie teraz... - powiedziała do siebie, ale uczucie nie zniknęło od samego powtarzania.

W pół drogi po schodach Rory zawołał:

- Kochanie?

Kochanie! Śmiechu warte, ale Julia nie była w nastroju. Była tutaj, jeśli chciał ją znaleźć - jego kochanie, jego kotus - z obmytymi naprędce piersiami i trupem w ramionach.

- Gdzie jesteś?

Zawahala się czy odpowiedzieć, niepewna brzmienia, jaki przybrać by mógł jej głos.

Zawołał po raz trzeci. Głos zmienił się, kiedy przeszedł przez kuchnię. Za chwilę Rory przekona się, że Julia nie gotuje zupy, nie stoi przy kuchence. Potem na pewno pójdzie na piętro. Miała zatem dziesięć sekund, może piętnaście.

Starając się poruszać bezszelestnie w obawie, by Rory jej nie wykrył, przeniosła tobołek do pustego pokoju na końcu korytarza. Był zbyt mały na sypialnię (ewentualnie byłby dobry dla dziecka), więc używali go jako graciarnię. Znajdowały się tu na wpół opróżnione skrzynki, meble, których nigdzie nie udało się wpasować, najróżniejsze śmieci. Zostawiła resztki ciała mężczyzny, by po pewnym czasie powrócić po nie. Ukryła je za uszkodzonym fotelem. Zamknęła drzwi na klucz dokładnie w momencie, gdy Rory zaczął wchodzić na schody.

- Julia? Julia, kochanie, jesteś tam?

Wśliznęła się do łazienki i spojrzała w lustro. Ukazał się jej zamazany portret.

Podniosła bluzkę, która zwisała z brzegu wanny i założyła ją na siebie. Nie pachniała najlepiej i

bez wątpienia była na niej krew, pomiędzy wzorzystymi kwiatami, ale nie miała nic lepszego pod ręką.

Rory nadchodził korytarzem. Słyszała jego słoniowaty chód.

- Julia?

Tym razem odpowiedziała, nie usiłując opanować drżenia głosu. Lustro potwierdziło jej obawy: musi pozalić mu się, że nie jest w najlepszym nastroju. Musiała to jakoś uwiarygodnić.

- Czy dobrze się czujesz? - zapytał. Był za drzwiami.

- Nie - powiedziała. - Mdli mnie.

- O Jezu, kochanie...

- Zaraz będzie po wszystkim.

Nacisnął klamkę, ale ona zamknęła wcześniej drzwi na zatyczkę.

- Czy możesz mnie jeszcze przez chwilę zostawić samą?

- Czy zadzwonić po pogotowie?

- Nie - odparła. - Naprawdę nie. Ale chętnie napiłabym się trochę brandy.

- Brandy...

- Będę na dole jak najszybciej.

- Jak Pani sobie życzy - zażartował. Liczyła jego kroki kiedy podążał ku schodom, a potem jak zstępował po stopniach. Kiedy uznała, że jest już poza zasięgiem jego słuchu, otworzyła łazienkę i wyszła na korytarz.

Popołudniowe słońce zachodziło szybko. Korytarz wyglądał jak nie oświetlony tunel.

Z dołu dochodziły odgłosy uderzania butelki w kieliszek. Przeszła tak szybko, jak to tylko było możliwe, do pokoju Franka.

Z mrocznego wnętrza nie dochodził nawet najmniejszy szelest. Ściany przestały drżeć.

Ucichły też dźwięki dzwonów. Otworzyła drzwi; zajęczały lekko.

Jeszcze nie do końca wysprzątała pokój po krwawej robocie. Na podłodze był kurz, kurz z ludzkiego ciała. Skrawki wyschniętej skóry. Ukucnęła, by zebrać je dokładnie. Rory miał rację. Była rzeczywiście doskonałą gospodynią!

Kiedy powstała, coś poruszyło się w najciemniejszym kącie pokoju. Spojrzała w stronę, z której dochodził odgłos, ale zanim zdołała dostrzec majaczący cień, odezwał się głos:

- Nie patrz na mnie.

Był to głos nadzwyczaj utrudzonego człowieka - kogoś wyniszczonego przeżyciami, ale był to głos człowieka, nie zjawy. Sylaby niosło to samo powietrze, którym oddychała Julia.

- Frank? - powiedziała.

- Tak... dotarł do niej załamujący się głos. - To ja.

Z dołu Rory znów zawołał do niej:

- Czy już czujesz się lepiej?

- Tak, prawie dobrze - odparła.

Głos za jej plecami wypowiedział jeszcze:

- Nie pozwól mu dostać się blisko mnie - słowa wypowiedziane były szybko i gwałtownie.

- W porządku - wyszeptała do niego, a potem do Rory'ego, głośniejszym głosem: - Będę za sekundkę. Włącz jakąś muzykę. Coś spokojnego.

Rory odpowiedział, że włączy, i spoczął na kanapie.

- Jeszcze nie jestem gotowy, by ci się pokazać - powiedział głos Franka. - Nie chcę, żebyś mnie oglądała... nie chcę, żeby ktokolwiek mnie widział w takim stanie... nie teraz.

Na chwilę zamilkł i dokończył:

- Julio! Będę musiał mieć więcej krwi.

- Więcej!

- Tak. I to szybko.

- Ile jeszcze? - zapytała ciemności. Tym razem pochwyciła jednak jakieś zarysy jego wyglądu.

Nic dziwnego, że nie chciał się pokazywać.

- Po prostu więcej - powiedział. Mimo że mówił zaledwie nieco głośniej, niż by szeptał, było w głosie ponaglenie, które ją zmartwiło.

- Muszę iść - powiedziała, słysząc dobiegające ją odgłosy muzyki.

Tym razem ciemności nie odpowiedziały. W drzwiach odwróciła się.

- Cieszę się, że jesteś - powiedziała. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, posłyszała głos podobny trochę do śmiechu, a trochę do szlochu.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Kirsty, to ty?

- Tak? Kto mówi?

- To ja, Rory...

Połączenie nie było najlepsze, jakby zalało gdzieś kabel telefoniczny. Była jednak szczęśliwa, że do niej zadzwonił. Nieczęsto mu się to zdarzało, a kiedy już odzywał się po drugiej stronie drutu, występował w imieniu swoim i Julii. Ale tym razem, nie. Teraz Julia była tematem rozmowy.

- Coś niedobrego się z nią dzieje, Kirsty - powiedział. - Nie wiem, co to jest.

- To znaczy, jest chora?

- Może. Jest jakaś taka dziwna. I wygląda okropnie.

- Czy rozmawiałeś już z nią o tym?

- Ona twierdzi, że z nią wszystko w porządku. Ale widzę, że nie. Myślałem, że może ty z nią rozmawiałaś.

- Nie widziałam jej od czasu parapetówki.

- Jest jeszcze inna sprawa. Ona nawet nie chce wychodzić z domu. To zupełnie nie w jej stylu.

- Czy chcesz, żebym... zamieniła z nią dwa słowa?

- Mogłabyś?

- Nie wiem, czy to coś da, ale spróbuję.

- Nie mów jej, że dzwoniłem.

- Oczywiście, że nie. Wpadnę do niej jutro.

(- Jutro. To musi być jutro.

- Tak... wiem.

- Boję się, że się zatracę, Julio. Staczam się. )

- A ja zadzwonię do ciebie z biura w czwartek. Powiesz mi, co z nią właściwie jest.

(- Staczasz się?

- Będą wiedzieli, że mnie nie ma.

- Kto?

- Blizna. Te gnoje, które mnie zabrały...

- Czekaają na ciebie?

- Zaraz za ścianą. )

Rory powiedział jej, jak bardzo jest wdzięczny, a ona z kolei - że dla prawdziwego przyjaciela to drobnostka. Rory odłożył słuchawkę na widełki.

Teraz oboje opiekowali się Julią - cieszyli, gdy czuła się dobrze, i martwili, gdy miała złe sny.

Była to jedyna rzecz, która ich zaczęła łączyć.

Mężczyzna noszący biały krawat nie tracił czasu. Niemal natychmiast po tym, jak ich oczy spotkały się, podszedł do Julii. Zdecydowała jednak, mimo że do niej sam podszedł, że nie jest odpowiedni. Zbyt silny, zbyt pewny siebie. Po tym, jak pierwszy się opierał, postanowiła, że będzie wybierać starannie. Tak więc, kiedy Biały Krawat zapytał, co pije, powiedziała mu, żeby dał jej spokój.

Najwyraźniej był przyzwyczajony do odmowy ze strony kobiet, gdyż od razu wrócił na swoje miejsce przy barze. Julia zaś powróciła do swojego drinka.

Strasznie padało - już od trzech dni. W barze było też mniej klientów niż przed tygodniem. Raz po raz jakiś zmokły szczur zaglądał na drinka i po kwadransie znikał. A czas gonił. Było już po drugiej. Tym razem nie chciała ryzykować, że przy łapie ją wracający wcześniej z pracy Rory. Dopijała drinka i zdecydowała, że ten dzień nie będzie szczęśliwy dla Franka. Wyszła z baru na deszcz, rozpostarła nad głową parasol i ruszyła w stronę samochodu. Od razu jednak usłyszała z tyłu za sobą czyjeś kroki. Wkrótce Biały Krawat zrównał się z nią i powiedział:

- Mój hotel jest niedaleko stąd.
- Aha... - odrzekła tylko i szła dalej. Ale on nie dał się tak łatwo zbyć.
- Jestem tu tylko przez dwa dni - powiedział. Nie kuś mnie - pomyślała.
- Po prostu szukam towarzystwa... - ciągnął - nie mam do kogo otworzyć ust.
- Czyżby?

Chwycił ją za nadgarstek tak mocno, że prawie krzyknęła. Wtedy wiedziała już, że będzie musiała go zabić. On zaś dostrzegał w jej oczach pożądanie.

- Do hotelu? - zapytał.
- Nie za bardzo lubię hotele. Są takie bezosobowe.
- Masz lepszy pomysł? - powiedział. Oczywiście, że miała.

Powiesił ociekający wodą płaszcz na stojaku w sieni. Julia zaproponowała mu drinka.

Na imię miał Patrick i przyjechał tu z Newcastle.

- W interesach. Ale nie za dobrze mi poszło tym razem.
- Dlaczego? Wzruszył ramionami:
- Pewnie nie jestem zbyt dobry w biznesie. Ot, co!
- A czym się zajmujesz? - zapytała.
- A co cię to, tak naprawdę, obchodzi? - odparł szybko i ostro.

Uśmiechnęła się cierpko. Musi go szybko zabrać do pokoju na górze, zanim polubi jego towarzystwo.

- To może darujmy sobie w ogóle tę pogawędkę? - powiedziała. Poszła na całego, ale nic lepszego nie przyszło jej do głowy. Wypił jednym haustem resztę drinka i podążył za Julią.

Tym razem nie zostawiła uchylonych drzwi, ale zamknęła je na klucz. Faceta zaintrygowało to.

- Ty pierwsza - powiedział, kiedy otworzyła drzwi.

Poszła więc pierwsza. On za nią. Tym razem postanowiła, że nie będzie żadnego rozbierania. Jeśli trochę cennej krwi miało wsiąknąć w jego ubranie, niech tak będzie. Byle tylko nie dawać mu szansy na spełnienie tego, co mu chodzi po głowie w pokoju, w którym przecież nie są sami.

- Zamierzasz się pierdolić tu, na tej podłodze? - zapytał wprost.
- Masz coś przeciwko?

- Nie, jeśli to tobie pasuje - odparł i wpił się w jej usta, penetrując jej zęby językiem.

Zauważyła, że już jest podniecony; czuła, że już mu stwardniał. Ale na nią czekała tutaj robota. Musi przelać krew i nasycić swego podopiecznego.

Przerwała pocałunek i próbowała wysliznąć się z jego ramion. Nóż umieściła zawczasu w kieszeni marynarki, na drzwiach. Kiedy nie mogła go dosięgnąć, nie czuła się pewnie wobec mężczyzny.

- Jakiś problem? - zapytał.

- Nie... - odparła. - Ale nie musimy się też tak bardzo śpieszyć. Mamy mnóstwo czasu!

Dotknęła rozporka spodni mężczyzny, by go upewnić o swoich zamiarach. Jak głaskany pod szyją pies, mężczyzna przymknął oczy.

- Jesteś dziwna, wiesz?... - zauważył.

- Teraz nie patrz - zawołała nagle.

- Hmm?

- Zamknij oczy!

Nie wiedział, o co chodzi, ale posłuchał. Cofnęła się do drzwi i na wpół obróciła, by wyciągnąć nóż z kieszeni, a jednocześnie nie tracić faceta z oczu.

Miał zamknięte oczy i rozpinął właśnie rozporek, kiedy Julia chwyciła rękojęć noża.

Nagle cień poruszył się.

Usłyszał hałas i natychmiast otworzył oczy.

- Co to było? - zapytał wpatrując się w ciemności.

- Nic - stwierdziła wyciągnawszy bez przeszkód nóż ze skrytki. Odwrócił się i oddalał od niej, idąc w poprzek pokoju.

- Tam ktoś jest...

- Nie!

-... tutaj!

Ostatnie słowo zamarło mu na ustach, gdy spostrzegł poruszenie w rogu pokoju.

- Co... Na Boga! Co to jest?

Wskazał palcem w głąb pokoju. Ona już jednak go miała. Zaczęła szatkować mu kark z rzeźniczą dokładnością. Krew trysnęła natychmiast gęstym strumieniem, uderzając głucho o ścianę. Słyszała odgłosy ukontentowania, wydawane przez Franka, a potem skargę mężczyzny: długi i niski jęk. Chwycił się za szyję, żeby zatamować upływ krwi, ale zaatakowała znowu. Bez litości cięła po palcach, po twarzy. Wreszcie, zachwiał się i padł na podłogę.

Usunęła się, żeby nie zawadzić o jego nogi. W rogu widziała Franka, jak kołysze się wręcz z radości.

- Moja dobra kobietko... - powiedział.

Nie wiedziała, czy to tylko złudzenie, czy też rzeczywiście jego głos był już znacznie wyraźniejszy. Przypominał jej głos, który słyszała tysiące razy, rozpamiętując chwile rozkoszy sprzed lat.

Nagle u drzwi zadzwonił dzwonek. Zamarła z przerażenia.

- O Boże - wypowiedziała.

- Jest wyśmienity - odpowiedział cień. - Tak dobry, jakby był martwy.

Spojrzała na mężczyznę i spostrzegła, że Frank ma rację. Żył jeszcze i trzął się.

- Jest naprawdę duży. I dorodny - rozkoszował się Frank.

Teraz był w zasięgu jej wzroku. Był zbyt łapczywy, żeby dbać o nią. Zobaczyła go po raz pierwszy w całości. Był parodią - nie tylko człowieczeństwa, ale i parodią życia.

Odwróciła głowę.

Dzwonek zabrzmiał znowu. Dłużej niż poprzednim razem.

- Idź i otwórz - poprosił Frank. Nie odpowiedziała.

- No idź - ponaglił ją zwracając się w jej stronę. Patrzący na nią jaśniejące oczy umieszczone w bezkształtnej masie.

Dzwonek odezwał się po raz trzeci.

- Ktoś tam jest bardzo nachalny - powiedział, próbując teraz perswazji, skoro nie usłuchała polecenia. - Naprawdę myślę, że powinnaś zejść na dół i otworzyć drzwi.

Przestała mu się przyglądać i skupiła uwagę na zwłokach na podłodze.

I znowu usłyszała dzwonek.

Rzeczywiście, lepiej było otworzyć. Wyszła z pokoju, próbując nie słyszeć dźwięków wydawanych przez Franka. Może to był agent ubezpieczeniowy albo świadek Jehowy z najnowszymi wiadomościami o zbawieniu? Tak, nie miała nic przeciwko temu. Dzwonek zadzwieczał znowu.

- Już idę - zawołała przez drzwi, śpiesząc się teraz, jakby bała się, że przybysz sobie pójdzie. Miała pogodny wyraz twarzy, gdy otwierała w końcu drzwi. Uśmiech zniknął jednak natychmiast.

- Kirsty?!

- Mało brakowało i już bym sobie poszła.

- Ja... spałam.

- Aha!

Kirsty patrzyła na nią ze zdziwieniem. Z opisu Rory'ego wynikało, że powinna wyglądać nie najlepiej. Tymczasem było wręcz przeciwnie. Julia miała zarumienioną twarz; kosmyki pozlepianych włosów poprzyklejały się do jej spoconego czoła. Nie wyglądała jak kobieta, która dopiero co wstała z łóżka. No, z łóżka może tak, ale nie ze snu.

- Zaszłam tylko tak - zaczęła - na pogawędkę...

Julia wzruszyła ramionami.

- Nie jestem pewna, czy wybrałaś najlepszy moment - powiedziała.

- Rozumiem.

- Może mogłybyśmy się spotkać pod koniec tygodnia?...

Kirsty spojrzała za plecy Julii. Ujrzała wilgotny jeszcze męski płaszcz na wieszaku.

- Czy jest Rory? - zaryzykowała.

- Nie - powiedziała Julia. - Oczywiście, że nie. Jest w pracy. Twarz jej nagle przybrała kamienny wyraz: - Czy po to przyszłaś? Żeby zobaczyć się z Rory'm?

- Nie, ja...

- Nie musisz mnie prosić o zgodę. Rory jest dorosły. Oboje możecie robić, co się wam, kurwa, podoba.

Kirsty nie próbowała już się spierać. *Volte face* pozostawiła ją w osłupieniu.

- Idź do domu - powiedziała Julia. - Nie chcę teraz z tobą rozmawiać.

Zatrzasnęła drzwi.

Kirsty jeszcze przez dobrą chwilę stała na schodku trzęsąc się cała. Nie miała najmniejszych wątpliwości, co się tu działo. Ociekający płaszcz, podniecenie Julii - jej zaczerwieniona twarz, jej nagły wybuch gniewu. W domu był kochanek. Biedny Rory źle wszystko rozumiał.

Zeszła ze stopnia i zaczęła iść w stronę ulicy. Głowę wypełniały jej tysiące myśli. W końcu jedna z nich wybiła się na pierwszy plan: jak o tym wszystkim powie Rory'emu?

Złamie mu tym przecież serce, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. A na siebie samą, jako zwiastunkę nieszczęścia, ściągnie niechęć. Była bliska płaczu.

Łzy nie pociekły jej jednak, gdyż inne, przedziwne uczucie zajęło jej uwagę.

Ktoś obserwował ją. Czowała czyjeś spojrzenie z tyłu swej głowy. Julia? Czowała przez skórę, że to nie była Julia. A więc jej kochanek. Tak, kochanek!

Wyszedłszy z cienia domu, nie mogła oprzeć się pokusie, by odwrócić głowę za siebie i spojrzeć.

W pokoju na poddaszu stał przy oknie Frank i spoglądał przez dziurę w roletcie, którą właśnie wydlubał. Kobieta, której twarz z ledwością rozpoznawał, gapiała się na dom.

Dokładnie - na okno, za którym stał Frank. Przekonany był, że nie jest w stanie go dojrzeć, więc nie przerwał obserwacji. Widywał już w życiu niejednokrotnie bardziej zgrabne kobiety, ale coś w braku szyku Kirsty zastanowiło go. Z jego doświadczeń wynikało, że takie kobiety były często znacznie lepszym towarzystwem niż piękności w rodzaju Julii. Były gotowe na takie rzeczy, o jakich pięknotki nigdy by nawet nie pomyślały. No i można było liczyć na ich wdzięczność za samo tylko zwrócenie na nie uwagi. Może kiedyś tu jeszcze wróci ta kobieta.

Miał nadzieję, że wróci.

Kirsty zlustrowała fasadę domu, ale nic nie zwróciło jej uwagi. Okna były albo puste, albo szczelnie zasłonięte. Mimo to dziwne uczucie nie opuszczało jej, było wręcz tak silne, że zakłopotana odwróciła się i poszła.

Deszcz rozpadał się na dobre, gdy szła przez Lodovico Street. Powitała go z ulgą - przyniósł jej ochłodę i umożliwił jej płacz. Łez, które płynęły jej z oczu, nie było można odróżnić od kropli wody.

\* \* \*

Julia, drżąc na całym ciele, powróciła na górę. W drzwiach natknęła się na człowieka z białym krawatem. Lub też raczej na jego głowę. Tym razem, z nadmiernej łapczywości lub głodu, Frank rozczłonkował całe ciało. Kawałki kości i wysuszonej skóry walały się po pokoju.

Samego smakosza jednak nie było widać.

Zawróciła do drzwi. Był tam i zastąpił jej drogę. Minęło zaledwie kilka minut od czasu, gdy widziała go, jak z wysiłkiem pochylał się nad ofiarą, by wyssać z niej energię.

Przez ten krótki czas zmienił się nie do poznania. Tam, gdzie dotąd zwisały zwiotczałe resztki, teraz prężyły się mięśnie. Na nowo została na nim nakreślona mapa tętnic i żył.

Pulsowały skradzionym życiem. Na głowie miał nawet trochę włosów; nieco przedwcześnie wobec braku naskórka.

To wszystko jednak nie poprawiło jego wyglądu ani trochę. A nawet być może pogorszyło. Poprzednio nie można było rozpoznać żadnej konkretnej części ciała. Teraz składał się z przypadkowych fragmentów tu i tam groteskowo połączonych. Tragedia i rozmiary jego wyniszczenia ujawniły się ze zdwojoną ostrością.

Ale nie to było najgorsze. Przemówił. A kiedy zaczął wypowiadać pierwsze sylaby, zorientowała się, że jest to bez wątpienia głos Franka. Łamane sylaby zniknęły.

- Wszystko mnie boli - powiedział.

Jego pozbawione brwi i powiek oczy patrzyły wyczekująco. Próbowwała ukryć swoje obrzydzenie, ale jednak nie mogła oprzeć się uczuciu zdegustowania.

- Nerwy znowu działają - mówił - ale bolą.

- Jak ci mogę pomóc? - zapytała.

- Może... trochę bandaży.

- Bandaży?

- Pomóż mi się złożyć do kupy.

- Jeśli tylko chcesz.

- Ale będę potrzebował jeszcze, Julio. Jeszcze jedno ciało.

- Jeszcze jedno? - zapytała. - Czyżby to jeszcze nie koniec?

- A co mamy do stracenia? - odparł, przysuwając się do niej.



Poczuła niepokój wobec jego bliskości. Czytając strach z jej twarzy, zatrzymał się.

- Wkrótce będę zupełnie normalny - obiecał - a kiedy będę...

- Lepiej tu posprzątam - powiedziała, odwracając twarz.

- A kiedy będę, kochana Julio...

- Rory będzie tu zaraz.

- Rory! - wypluł z siebie jego imię. - Mój kochany braciszek! Na Boga, jak mogłaś wyjść za tego nudziarza?

Poczuła wzbierający w niej gniew.

- Kocham go - powiedziała. A po chwili poprawiła się: - Myślałam, że go kocham.

Śmiech na jego twarzy karykaturalnie uwypuklił śmiertelną nagość.

- Czy wierzysz w to, co mówisz? - zapytał. - Przecież to niezguła. Zawsze taki był i zawsze będzie. Nigdy nie miał zielonego pojęcia o przygodzie.

- Nie tak, jak ty.

- Nie tak, jak ja.

Spojrzała na podłogę. Między nimi leżała ręka trupa. Przez chwilę zbierało jej się na wymioty. Przed oczami stało jej wszystko, co ostatnio zrobiła, o czym marzyła.

Podrywanie mężczyzn wiodące nieuchronnie do śmierci. Wszystko dla tej śmierci, którą być może uwieńczy uwiedzenie. Pomyślała, że jest równie szalona, jak on. Miała równie chore ambicje, jak on. No tak... ale to już się stało.

- Uzdrów mnie - wyszeptał do niej. Chropawość zniknęła z jego głosu. Mówił, jak czuły kochanek. - Ulecz mnie, proszę.

- Zrobię wszystko, co będę mogła - odrzekła. - Obiecuję!

- A potem będziemy razem. Zachnęła się:

- A co będzie z Rory'm?

- Jesteśmy przecież braćmi - powiedział. - Sprawię, że ujrzy on w tym mądrość losu, cud życia. Przecież ty nie należysz do niego. Już nie.

- Nie - odpowiedziała z przekonaniem.

- My należymy do siebie. Tego właśnie chcesz, prawda?

- Tak, tego chcę.

- Wiesz, myślę, że gdybym ciebie kiedyś miał, nie popadłbym w rozpacz - mówił. - I nie oddałbym swego ciała i duszy tak tanio.

- Tanio?

- Dla przyjemności. Dla zmysłów. W tobie... - przysunął się do niej. Słowa sprawiły, że nie drgnęła -... w tobie mogłem kiedyś odkryć sens życia.

- Jestem tutaj - powiedziała. Nie myśląc o tym wcale, wyciągnęła rękę i dotknęła go.

Ciało miał gorące, wilgotne. Zdawało się, że wszędzie można było wyczuć tętno; w każdym pęku nerwów, w każdym skrawku ciała. Kontakt podniecił ją. Tak, jakby do tej pory nie całkiem wierzyła, że jest tam naprawdę. Teraz było to poza wszelką dyskusją. Stworzyła tego mężczyznę, a raczej odtworzyła. Mogła mu dać ciało dzięki swojemu sprytowi i przemyślności. Czowała dreszcz, dotykając jego wrażliwego ciała. Był to dreszcz posiadania.

- Teraz nadchodzi największe niebezpieczeństwo - powiedział. Dotąd mogłem ukryć się bez kłopotu. Praktycznie rzecz biorąc - nie było mnie. Ale to już jest skończone.

- Nie masz racji. O wszystkim pomyślałam.

- Musimy działać bardzo szybko. Muszę być na powrót normalny i silny. Za każdą cenę. Zgadzasz się?

- Oczywiście.

- Potem będzie koniec twego oczekiwania, Julio.

Puls przyspieszył w nim na tę myśl.

Padł przed nią na kolana. Jego nie wykończone ręce dotykały jej ud, a potem ust.

Zapominając o niesmaku, położyła mu ręce na głowie. Czowała jego niemowlęce jedwabiste włosy i gładką kość czaszki.

Skoro rozpacz nauczyła ją wyciskać z kamienia krew, tym razem była pewna, że z tej szkaradnej postaci wydobędzie upragnioną miłość.

## **ROZDZIAŁ ÓSMY**

W nocy rozszalała się burza. Bez deszczu, ale za to z piorunami. Powietrze pachniało jak mokra stal.

Kirsty nigdy nie sypiała dobrze. Nawet jako dziecko, mimo że matka знаła kołysanki zdolne ukołysać do snu pułk kawalerzystów, nie potrafiła zapaść w spokojny sen. Nie, nie śniły się jej koszmary, a w każdym razie nie takie, które by jeszcze rano pamiętała. To była niechęć do snu samego w sobie. Coś ją powstrzymywało od zamknięcia oczu i powolnego wyzbywania się kontroli nad sobą.

Była zatem szczęśliwa dzisiejszej nocy dzięki błyskawicom i głośno walącym piorunom. Miała wymówkę, żeby nie iść do łóżka, tylko popijać herbatę i podziwiać spektakl za oknem.

Miała też dzięki temu czas na myślenie, czas na przeanalizowanie problemu dręczącego ją od czasu niefortunnej wizyty na Lodovico Street. Nadal wszak nie była ani trochę bliżej rozwiązania.

Jedna myśl szczególnie nie dawała jej spokoju. A jeśli myliła się? A jeśli źle oceniła sytuację? Co będzie, jeśli Julia przedstawi doskonale tłumaczący ją dowód niewinności?

Utraci Rory'ego natychmiast.

Mimo wszystko, czy mogła milczeć? Nie zniosłaby myśli, że ta kobieta śmieje się za plecami z jej naiwności. Na myśl o tym krew gotowała się w jej żyłach.

Jedynym możliwym wyjściem było czekać i patrzeć. Zobaczyć, czy można zdobyć jakiś niepodważalny dowód. Jeśli jej najgorsze przeczucia zostałyby potwierdzone, nie miałyby innego wyjścia, jak tylko powiedzieć o wszystkim Rory'emu.

Tak. To była odpowiedź. Czekać i patrzeć, patrzeć i czekać.

Burza przewalała się godzinami, odmawiając jej snu prawie do czwartej nad ranem.

Kiedy w końcu zasnęła, był to sen cierpliwego obserwatora. Jasny i pełen wizji.

\* \* \*

Wichura zamieniła dom w pociąg duchów. Julia usiadła na dole i liczyła sekundy między kolejnym błyskiem a uderzeniem pioruna. Nigdy nie lubiła burzy. Ona: morderczynie, z żywym trupem w objęciach. Tak, to był kolejny paradoks, oprócz tych, których kolekcja ostatnimi dniami rosła bardzo szybko w jej życiu. Kilka razy myślała o tym, żeby pójść na górę i dogodzić sobie z Frankiem, ale wiedziała, że byłoby to nierozsądne. Rory mógł wrócić lada chwila. Był na przyjęciu w firmie; pewnie wróci pijany i - jak wynika z jej doświadczeń -

nie najmiłszy.

Wichura wzmagala się. Włączyła telewizor, żeby zagłuszyć ryk burzy, ale na niewiele to się zdało.

O jedenastej przyszedł Rory, rozpluwający się w uśmiechach. Miał dobre wieści. W

środku przyjęcia wziął go na stronę szef. Pochwalił go za dobrą pracę i zaczął roztaczać przed nim wspaniałe perspektywy na przyszłość. Julia słuchała tej opowieści ze znudzoną miną licząc, że podekscytowany Rory tego nie dostrzeże. W końcu, kiedy skończył gadać, ściągnął

marynarkę i usiadł obok niej na kanapie.

- Biedaczysko - powiedział. - Nie lubisz burzy...

- Wszystko w porządku. Nie martw się - odparła.

- Jesteś pewna?

- Tak. Czuję się dobrze.

Nachylił się do niej i pocałował w ucho.

- Jesteś cały spocony - zauważyła z niesmakiem. On jednak nie zaprzestał zalotów.

- Proszę, Rory - powiedziała. - Nie chcę.

- Dlaczego nie? Co ja takiego zrobiłem?

- Nic - powiedziała, udając zainteresowanie programem w telewizji. - Wszystko z tobą jest w porządku.

- Aaa! Rzeczywiście! - powiedział podniesionym głosem. - Ty jesteś w porządku, ja jestem w porządku. Każde z nas jest w popierdolonym porządku!

Wpatrywała się w migotający ekran. Właśnie rozpoczęło się wieczorne wydanie wiadomości: zwyczajna codzienna wiązka bólu i ludzkiego nieszczęścia. Rory jednak mówił, zagłuszając swoim kazaniem głos spikera. Nie przejmowała się tym wcale. Czy świat miał jej cokolwiek do powiedzenia? Chyba nie. To raczej ona miała trochę nowości, które powinny być ciekawe dla świata. Wieści o życiu przeklętych, o zagubionej i na powrót odnalezionej miłości, o tym, co mają ze sobą wspólnego rozpacz i pożądanie.

- Julio, proszę - mówił Rory - po prostu rozmawiaj ze mną...

Prośby męża spowodowały, że spojrzała na niego uważnie. Wyglądał, jak ten chłopiec z fotografii. Gruby i włochaty, ubrany jak dorosły mężczyzna, ale w swej istocie - ciągle jeszcze chłopięcy, patrzący niepewnie przed siebie. Przypomniała sobie pytanie, które zadał

jej Frank: *Jak mogłaś wyjść za tego nudziarza?* Kwaśny uśmiech ozdobił jej twarz, kiedy o tym pomyślała. Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Do cholery! Co jest w tym takiego śmiesznego?

- Nic.

Potrząsnął głową, zagniewany. Błyskawica pojawiła się niemal jednocześnie z uderzeniem pioruna. W tej samej chwili usłyszeli jakiś hałas na piętrze. Dla odwrócenia uwagi Rory'ego, z udawanym zainteresowaniem wlepiała wzrok w telewizor, ale to nic nie dało; Rory też usłyszał hałas.

- Co to, do cholery, było?

- Piorun. Wstał.

- Nie - powiedział. - Coś jeszcze. Był już przy drzwiach.

Dziesiątki możliwości przebiegły jej przez głowę, ale żadna nie wydawała się odpowiednią. Nieco oszołomiony alkoholem, zaczął mocować się z klamką.

- Może zostawiłam otwarte okno - powiedziała i też wstała. - Pójdę zobaczyć.

- Sam mogę pójść - odpowiedział. - Nie jestem kompletnym idiotą.

- Nikt tego nie powiedział - zaczęła, ale on jej nie słuchał. Kiedy wyszedł na korytarz, znowu błysnęło i zagrzmiało. Szła za nim. Następny piorun uderzył w chwilę potem. Musiał trafić w coś w pobliżu, bo usłyszała potężny trzask. Rory był już w połowie schodów.

- To nic nie było! - krzyknęła za nim. Nie odpowiedział. Dotarł już na szczyt schodów. Szła za nim.

- Nie... powiedziała w przerwie między jednym piorunem a drugim. Kiedy osiągnęła szczyt schodów, czekał tam na nią.

- Coś nie w porządku?

Pokryła zdenerwowanie wzruszeniem ramion.

- Zachowujesz się niemądrze - odpowiedziała miękko.

- Doprawdy?

- To był po prostu piorun.

Twarz Rory'ego, oświetlona nową błyskawicą, nagle zmiękła.

- Dlaczego traktujesz mnie jak szmatę? - zapytał.

- Jesteś po prostu zmęczony - odparła.

- No, dlaczego? - nalegał jak dziecko. - Co ja ci takiego zrobiłem?

- Już dobrze - powiedziała. - Naprawdę, Rory. Wszystko jest w porządku. - W kółko powtarzała hipnotyzujące banały.

I znów uderzył piorun. I tym razem też dał się słyszeć jakiś inny dźwięk. Przeklinała nieostrożność Franka.

- Słyszałaś? - zapytał Rory.

- Nie.

Lekko zataczając się, odsunął się od niej. Patrzyła, jak znika w cieniu. Błysk pioruna na chwilę oświetlił korytarz przez otwarte drzwi sypialni. Lecz po chwili ciemności zapadły na nowo. Szedł w stronę pokoju. W stronę Franka.

- Czekaj... - powiedziała i ruszyła za nim. Nie zatrzymał się i przeszedł jeszcze kilka metrów w kierunku drzwi. Kiedy się z nim zrównała, kładł właśnie rękę na klamce.

Panika, która ją ogarnęła, nasunęła jej myśl. Sięgnęła ręką i dotknęła jego policzka.

- Boję się... - powiedziała. Spojrzał na nią, zaskoczony.

- Czego? - zapytał.

Położyła mu dłoń na ustach, dając mu posmakować swego strachu na palcach.

- Burzy - powiedziała.

Widziała, jak wilgotnieją mu oczy w ciemności. Albo połknie haczyk, albo wypluje go.

I potem usłyszała:

- Biedne dziecko.

Połknął, a Julia odetchnęła. Wzięła go za rękę i odciągnęła ją od klamki. Jeśli Frank znów narobi hałasu, wszystko będzie stracone.

- Biedaczysko - powiedział znowu i objął ją ramieniem. Miał kłopoty z utrzymaniem równowagi. Ciążył jej w ramionach jak ołów.

- Chodź - powiedziała, odprowadzając go od drzwi. Uszedł z nią kilka niepewnych kroków i stracił równowagę. Musiała oprzeć się o ścianę, żeby nie dopuścić do upadku Rory'ego. W świetle błyskawicy ich oczy spotkały się. Wzrok mężczyzny pojaśniał z radości.

- Kocham cię - powiedział, krocząc przez korytarz. Przycisnął się do niej ciężko, ale nie opierała się. Oparł głowę na jej ramieniu i szeptał coś w jej szyję. Całował ją namiętnie.

Chciała go z siebie zrzucić. Co więcej, najchętniej wzięłaby go za rękę i pokazała, jak jest blisko potwora walczącego ze śmiercią.

Ale Frank nie był gotów na taką konfrontację. Jeszcze nie teraz. Musiała znosić przez jakiś czas pieśszoty swego męża, z nadzieją, że wnet go opanuje zmęczenie.

- Może byśmy poszli na dół? - zaproponowała.

Wymamrotał coś do jej szyi, ale nie poruszył się. Jego lewa dłoń spoczywała na jej piersi, a drugą obejmował ją w pasie. Pozwoliła, by wsunął rękę pod bluzkę. Gdyby mu teraz odmówiła, zezłościłby się na nowo.

- Pragnę ciebie - powiedział, podnosząc usta do jej ucha. Kiedyś, przed laty, na takie słowa serce

by jej zaczęło skakać z radości. Ale teraz wiedziała lepiej. Serce to nie akrobata.

Serce to po prostu pompa ssąco - tłocząca. Jej ciało to mechanizm wdychający i wydychający, w którym odbywa się krążenie krwi, a pokarm jest trawiony, wchłaniany i wydalany.

Myślenie o sobie w taki właśnie, pozbawiony romantyzmu sposób, sugerowało, że jej ciało jest tylko zestawem kości i mięśni. Dzięki temu jednak łatwiej było jej znieść nieprzyjemne uczucie, kiedy Rory zdjął z niej bluzkę i przywarł twarzą do jej piersi. Zakończenia nerwowe zareagowały obowiązkowo na ruchy jego języka. Ale dla niej nadal była to tylko lekcja anatomii. Stała tak, zatopiona w myślach, i nie ruszała się.

Teraz Rory zaczął się rozbierać. Spostrzegła nabrzmiałego członka, kiedy uderzył nim z lekka o jej udo. Rozwarł jej nogi i zsunął jej majtki tyle tylko, żeby mieć do niej dostęp. Nie sprzeciwiała się i bezgłośnie przyzwoliła na to, żeby w nią wszedł.

On zaś od razu zaczął jęczeć. Słuchała tego jednym uchem, dając mu się zabawiać.

Zamknęła oczy i usiłowała wyobrazić sobie lepsze czasy, ale błyskawica wybiła ją z tych myśli. Otworzyła oczy na dźwięk grzmotu i zauważyła, że drzwi pokoju na poddaszu są teraz lekko uchylone. W wąskiej szczelinie między drzwiami i futryną zauważyła połyskującą postać, obserwującą parę małżonków.

Nie widziała oczu Franka, ale czuła jego wyostrzony złością i zazdrością wzrok. Nie odwróciła oczu, ale wpatrywała się w cień nawet wtedy, gdy pojękiwania Rory'ego zrobiły się bardzo głośne.

I w końcu w wyobraźni ta chwila stała się inną. I znowu leżała na łóżku gniotąc swoją suknię ślubną. Między nogami czarna i wierzgająca bestia dawała jej posmak miłości.

- Biedna kruszynko - powiedział w końcu Rory i zapadł w sen. Leżał na łóżku, wciąż ubrany. Julia nie miała najmniejszej ochoty zajmować się rozbieraniem go. Kiedy chrapanie przybrało miarowy rytm, zostawiła go tam i poszła do pokoju na poddaszu.

Frank stał koło okna, obserwując jak burza przesuwa się na południowy wschód.

Zerwał rolety. Światło latarni zalało pokój.

- On cię słyszał - powiedziała.

- Musiałem zobaczyć burzę - odpowiedział. - Potrzebowałem tego.

- Do cholery! On cię prawie odnalazł. Frank potrząsnął głową.

- Nie ma czegoś takiego jak „prawie” - powiedział, nie odrywając wzroku od scenerii na zewnątrz, I po chwili dodał: - Chcę tam być. Chcę mieć to wszystko znowu.

- Wiem.

- Nie, nie wiesz - powiedział. - Nie masz pojęcia, jaki głód we mnie siedzi...

- Jutro - powiedziała. - Jutro zdobędę następne ciało.

- Tak. Zrób to. I potrzebuję jeszcze trochę innych rzeczy. Po pierwsze radio. Muszę wiedzieć, co się tu dzieje. I jedzenie: odpowiednie jedzenie. Świeży chleb...

- Czegokolwiek ci potrzeba.

-... i imbir. Wiesz, w zaprawach. W syropie.

- Wiem.

Rzucił na nią okiem, ale nie widział jej. Było zbyt wiele do zobaczenia.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że jest jesień - powiedział i wrócił do okna i do burzy.

## **ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY**

Kirsty zauważyła, że z okna na piętrze zniknęła roleta. Było to pierwsze jej spostrzeżenie, kiedy następnego dnia pojawiła się na Lodovico Street. Zamiast rolet do szyby poprzyklejane były stare gazety.

Bez trudu wyszukała sobie kryjówkę w zaroślach, za żywopłotem, z której chciała obserwować

dom, sama pozostając niewidoczna. Zaczaiła się i uzbroiła w cierpliwość.

Nieprędko jednak cierpliwość jej miała zostać nagrodzona. Dopiero po dwóch godzinach zobaczyła Julię, jak wyjeżdża do miasta samochodem. Po jakiejś godzinie wróciła.

Kirsty była do tego czasu zziębnięta do szpiku kości.

Julia nie wróciła sama. Był z nią mężczyzna, którego Kirsty nie знаła. Nie wyglądał, jej zdaniem, na nikogo z paczki Julii. Z odległości wyglądał na faceta w średnim wieku; z brzuskiem i łysiejący. Kiedy szedł za Julią do domu, oglądał się nerwowo za siebie.

Kirsty nie opuszczała swego dogodnego punktu obserwacji przez następny kwadrans, nie wiedząc, co robić dalej. Czy czekać, aż mężczyzna sobie pójdzie i zagadnąć go? A może powinna wejść do środka i rozmówić się z Julią teraz? Żadna z możliwości nie przypadła jej do gustu. Postanowiła więc, że na razie nie będzie nic robić. Dostanie się tylko nieco bliżej domu i pomyśli, co dalej.

Lecz na nic konkretnego nie wpadła. Podeszła w stronę domu, ale zaczęło ją coś korcić, by zawrócić i odejść stąd. Kiedy była o krok od takiej decyzji, usłyszała nagle krzyk dobiegający z wnętrza domu.

\* \* \*

Mężczyzna nazywał się Sykes, Stanley Sykes. Nie było to wszystko, co powiedział

Julii w samochodzie, kiedy jechali z miasta. Dowiedziała się, że ma żonę (Maudie), że z zawodu jest chiroprędką. Pokazał jej nawet zdjęcia dzieci: Rebeki i Ethana. Zdawało się, że Julia traci chęć uwiedzenia tego człowieka. Uśmiechała się z lekka. Powiedziała mu, że jest szczęściarzem.

Ale skoro tylko weszli do domu, sprawy zaczęły się komplikować. W połowie drogi na górę Sykes nagle oznajmił, że postępują grzesznie, obrażają Pana Boga. A On widzi ich serca i widzi ich pożądanie. Robiła, co mogła, by go uspokoić, ale on nie dał się przekonać, skoro już raz zaczął myśleć o Bogu. Stracił miłosny zapał. Raczej wpadł w gniew. Rzucił się na Julię i bez wątpienia skrzywdziłby ją, gdyby nie głos, który dobiegł do jego uszu z góry schodów. Przestał ją bić momentalnie, jakby to sam Bóg go napominał. Wtedy Frank pojawił

się u szczytu schodów, w całej swojej chwale. Sykesowi głos uwiązł w gardle, ale mimo to próbował uciec. Julia była jednak szybsza. Chwyciła go i trzymała tak długo, dopóki nie dopadł go Frank i przygwoździł swoją ciężką ręką.

Nie zdawała sobie sprawy, że Frank jest tak silny, do czasu, gdy usłyszała trzask łamanych kości. Był z pewnością silniejszy niż zwykli mężczyźni. Sykes wrzasnął znowu.

Aby uciszyć Sykesa, złamał mu z trzaskiem szczękę.

\* \* \*

Ponowny krzyk, który dobiegł Kirsty, zamarł znienacka. Usłyszała w nim nutę przerażenia. Była gotowa rzucić się na pomoc, chciała podbiec do drzwi i zadzwonić.

Po chwili doszła jednak do wniosku, że lepiej będzie, gdy obejdzie dom od drugiej strony. Tak też zrobiła - szła wątpiąc w sens każdego kroku. Była jednak pewna, że ujawnienie się teraz nic by jej nie dało. Furtka do ogrodu na tyłach domu nie była zamknięta.

Prześliznęła się przez nią, czuła na każdy odgłos, szczególnie na hałas wywoływany przez własne stopy. Z wnętrza domu nie dobiegał teraz żaden dźwięk.

Zostawiła furtkę otwartą na oścież na wypadek ucieczki. Pośpieszyła do tylnych drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Teraz jednak zwolniła nieco. Może powinna zadzwonić po Rory'ego, sprowadzić go do domu? Ale do tego czasu, cokolwiek się działo, już by się zakończyło. Wiedziała doskonale, że jeśli Julia nie zostanie złapana na gorącym uczynku, z łatwością uwolni się od jakiegokolwiek oskarżenia. Nie. Było tylko jedno rozwiązanie: wejść do środka. Tak pomyślawszy, wkroczyła do

domu.

Wewnątrz było zupełnie cicho. Nie było nawet słyszeć kroków, dzięki którym mogłaby zlokalizować aktorów, których sztukę przyszła oglądać. Podeszła do kuchennych drzwi i przez kuchnię dotarła do jadalni. Skręcało jej żołądek. W gardle zaszcło jej nagle tak, że nie mogła przełknąć nawet śliny.

Z jadalni przeszła do sieni, a stamtąd na korytarz. Nadal nic - ani szeptów, ani westchnień. Julia i jej towarzysze mogli być tylko na piętrze, ale to sugerowałoby, iż myliła się zgadując, że krzyk sprzed kilku minut był krzykiem strachu. Może był to krzyk rozkoszy? Jęk orgazmu, a nie paniki? Łatwo się w tym pomylić.

Drzwi wejściowe były na prawo od niej, o kilka metrów. Wciąż mogła spokojnie wyjść. Tchórz w głębi jej duszy kusił ciągle...

Ale paląca ciekawość nie dawała jej spokoju. Chciała dowiedzieć się, chciała poznać tajemnicę tego domu. Ciekawość rosła z każdym krokiem. Dotarła do szczytu i zaczęła posuwać się wzdłuż korytarza. Nagle pomyślała sobie, że być może ptaszki wyfrunęły i najspokojniej w świecie wyszły drzwiami od frontu, podczas gdy ona skradała się z tyłu.

Musiała to sprawdzić. Pierwsze drzwi na lewo prowadziły do sypialni; jeśli kochali się gdzieś, to tylko tutaj. Ale nie. Drzwi były uchylone. Zaglądnęła do środka. Łóżko było gładko pościelone.

I wtem usłyszała niewyraźny krzyk. Tak blisko, tak głośno... Serce zamarło jej z niepokoju. Wychyliła się z sypialni i zobaczyła postać sunącą z jednego pokoju do drugiego. Potrzebowała trochę czasu, nim rozpoznała w niej mężczyznę, który przybył tu z Julią. Właściwie poznała go tylko po odzieży. Reszta zmieniona była diametralnie. Wyglądał okropnie. Jakaś wyniszczająca choroba dopadła go w ciągu kilku minut, odkąd Kirsty widziała, jak wchodzi do domu wraz z Julią. Pozostała z niego tylko skóra i kości.

Zobaczywszy Kirsty, rzucił się ku niej w nadziei, że oto nadszedł dlań ratunek. Zrobił może jeden krok w jej stronę, kiedy jakaś postać pojawiła się za nim. Też sprawiała wrażenie, że toczy ją jakaś choroba. Ciało pokrywały poplamione krwią bandaże - od stóp do głowy.

Jednak w sposobie poruszania się nie można było dostrzec śladu choroby. Wręcz przeciwnie. Postać dopadła uciekającego i pochwyciła za szyję. Kirsty wydała z siebie okrzyk, kiedy ten w bandażach ścisnął bez litości swoją ofiarę. Pochwycony mężczyzna zdobył się na słaby jedynie sprzeciw, ale wtedy potwór wzmocnił uchwyt na szyi. Ciało zatrzęsło się i zachwiało, nogi ugięły się bezładnie. Z oczu buchnęła krew. Zaczęła wylewać się także z nosa i oczu.

Krople krwi zdawały się wypełniać powietrze. Kirsty poczuła je nawet na swej skroni. To wyzwoliło ją z bezruchu. Nie miała czasu do stracenia. Rzuciła się do ucieczki.

Potwór nie gonił jej. Dotarła bez trudu do schodów, ale kiedy postawiła stopę na stopniu, zawołał na nią.

Głos potwora... wydał jej się znajomy.

- A więc tu jesteś - powiedział.

Miał miękki głos. Mówił tak, jakby ją znał. Zatrzymała się.

- Kirsty - powiedział. - Poczekaj sekundkę.

Coś jej mówiło, żeby uciekać, lecz mimo wszystko nie ruszyła się z miejsca.

Usiłowała sobie przypomnieć, czyj to głos, głos dobiegający zza bandaży. Wciąż jeszcze zdążyłaby uciec, miała kilka dobrych metrów przewagi. Spojrzała na tę przedziwną postać.

Zwłoki w jej ramionach skurczyły się, zwinęły, jakby zmięły. Bestia rzuciła nimi teraz o podłogę.

- Zabiłeś go - powiedziała.

Postać kiwnęła potakująco. Nie wydawało się, żeby chciała się usprawiedliwić.

- Nie czas, by go żałować - powiedział i postąpił w jej stronę.

- Gdzie jest Julia? - zapytała Kirsty.

- Nie bój się. Wszystko jest w porządku - powiedział głos. Kirsty prawie już rozpoznawała, do kogo należał.

Kiedy zastanawiała się, postać zrobiła kolejny krok. Jedną ręką podparła się o ścianę, jakby z ledwością utrzymując równowagę.

- Widziałem cię - powiedział - i myślę, że ty mnie też widziałas. W oknie. -

Zaciekawienie Kirsty wzrosło. Czyżby to coś było tu tak długo? Jeśli tak, Rory musiałby o tym wiedzieć...

W tym momencie rozpoznała głos.

- Tak. Pamiętasz. Widzę, że pamiętasz...

A więc był to głos Rory'ego, albo bardzo podobny. Bardziej gardłowy, pewny siebie, ale podobieństwo było niezaprzeczalne. Przerazenie spętało jej nogi, a potwór w tym czasie zbliżył się na niebezpieczną odległość.

W końcu porzuciła swe fascynacje i zaczęła uciekać, ale była już bez szans. Słyszała jego kroki tuż za swoimi plecami. Poczula jego palce na swojej szyi. Na usta wdarł się krzyk, ale natychmiast został zdławiony chropawą dłonią potwora. Nie mogła ani krzyczeć, ani złapać oddechu.

Pociągnął ją z powrotem. Usiłowała wydrzeć się z uścisku, rozrywając palcami bandaż na jego ramionach. Nie zareagował na jej opór ani trochę. Przez jedną, przerażającą chwilę haczyła piętami o leżące na podłodze zwłoki. Została wciągnięta wnet do pokoju, gdzie łączyli się umarli z żywymi. Czula zapach świeżego mięsa i zsiadłego mleka. Popchnął

ją na mokrą i ciepłą podłogę.

Zbierało się jej na wymioty. Nie opierała się instynktowi i zwróciła całą zawartość żołądka. Sparaliżowana swym zachowaniem oraz nadchodzącym zagrożeniem, nie była w stanie wykonać żadnego ruchu. Nie była w stanie przewidzieć, co ją czeka. Zdawało się jej, że jeszcze kogoś spostrzegła kątem oka (Julię?) na korytarzu. Drzwi zatrzasnęły się. Było zbyt późno na wołanie o pomoc. Była sam na sam ze zmorą.

Wycierając usta, wstała z podłogi. Światło dnia przedzierało się przez gazety poprzyklejane do okien, zdobiąc pokój słonecznymi plamami. Stwór przybliżył się wachając jej ciało.

- Chodź do tatusia - powiedział.

W swoim dwudziestosześcioletnim życiu nie słyszała jeszcze zaproszenia, które odrzuciłaby z większym wstrętem.

- Nie próbuj mnie dotykać! - krzyknęła ostro.

Przekrzywił nieco głowę, jakby zachwycił się tym pokazem niezależności. Przybliżył się do niej, rechocząc z wyrazem - Boże okaz jej litość - pożądania na twarzy.

Wycofała się w róg pokoju, lecz wkrótce nie miała już gdzie się wcisnąć.

- Czy mnie pamiętasz? - zapytał.

Potrząsnęła głową.

- Frank - podpowiedział. - Jestem Frank... Spotkała Franka tylko raz, na Alexandra Road. Przyszedł w odwiedziny pewnego dnia, na krótko przed ślubem Rory'ego i Julii.

Niczego więcej nie mogła sobie przypomnieć. Poza tym, że znenawidziła go od samego początku.

- Zostaw mnie - powiedziała, kiedy sięgnął ręką w jej stronę. Wyczuła jednak pewną subtelność w dotyku jego dłoni, gdy poczuła je na swoich piersiach.

- Nie! - wrzasnęła. - Raczej pomóż mi...



- Co? - powiedział głos Rory'ego. - A co zrobisz?

- Nic - brzmiała odpowiedź. Nie mogła nic zrobić, tak jakby śniła koszmar. Było tak, jak w jej snach o przemocy i gwałcie, gdzieś w podejrzanych zaułkach miasta. Nigdy jednak, nawet w najmakabryczniejszych snach, nie przewidziała, że tych koszmarów doświadczać będzie w pokoju, obok którego przechodziła dziesiątki razy, w domu przyjaciół.

W bezowocnym geście protestu odepchnęła błędzącą po jej ciele rękę.

- Nie bądź okrutna - powiedziało potworzysko, na nowo dotykając jej ciała. - Nie ma się czego bać.

- Tam, na zewnątrz... - zaczęła, myśląc o horrorze, jaki rozegrał się przed jej oczami na korytarzu.

- Trzeba coś jeść - odparł Frank. - Jestem pewien, że możesz mi to wybaczyć.

Zastanawiała się, dlaczego w ogóle czuje jego dotyk.

- To tylko sen - powiedziała do siebie głośno, ale bestia jedynie wybuchnęła śmiechem.

- Też kiedyś tak sobie mówiłem - powiedział. Dzień po dniu. Usiłowałem walczyć i uznać, że zło to tylko sen. Ale tak się nie da. Uwierz mi. Nie można tak. Trzeba wszystko przejść. Przeżyć.

Wiedziała, że mówi prawdę. Prawdę wcale nie wyzwalającą. Taką, którą tylko potwory mogą swobodnie głosić. Na pewno nie chciał schlebiać lub kadzić. Nie miał żadnej filozofii, z którą można dyskutować, albo kazania do wygłoszenia. Jego odrażająca nagość była w swoim rodzaju wyszukana. Ona jednak wiedziała, że nie będzie w stanie tego przetrzymać, że kiedy jej błagania nie poskutkują, a Frank pożądać jej będzie nadal - wyda z siebie taki krzyk, że cała rozsypie się w drobne kawałki.

Stawką był zdrowy rozsądek. Musiała walczyć. I to szybko.

Zanim Frank przywarł do niej, jej ręce powędrowały do góry, do jego twarzy. Palce Kirsty wpiły się w oczy i usta. Ciało pod bandażami miało konsystencję cieplej, pełnej grudek, galarety.

Bestia wrzasnęła z bólu, zwalniając uścisk. Wykorzystując dogodny moment dziewczyna odepchnęła go od siebie i rzuciła się do ucieczki w stronę drzwi, z siłą równą wiatrowi.

Frank znowu zaryczał. Nie traciła czasu na kontemplowanie jego ran, ale przesunęła się wzdłuż ściany, nie na tyle ufając nogom, by iść po otwartej przestrzeni. Zbliżyła się do drzwi. Skradając się, przypadkowo potrafiła nie zakrecony słoik z syropem i z imbirem, sprawiając, że ciecz i owoce rozprysnęły się po podłodze.

Frank skierował się w jej stronę. Bandaże zwisały z jego twarzy w nieładzie, odsłaniając dziury przez nią wyszarpane. W kilku miejscach mogła zobaczyć gołą kość.

Nawet teraz trzymał się za rany dłońmi i ryczał wniebogłosy. Czy oślepiła go? Nie była pewna. Nawet jeśli tak, było to kwestią czasu, zanim zlokalizuje ją w pokoju, a kiedy mu się to uda, jego gniew nie będzie miał żadnych granic. Musiała dotrzeć do drzwi, zanim potwór odzyska orientację.

Płonne nadzieje! Nie miała nawet chwili dla siebie. Frank oderwał od oczu ręce i zlustrował pokój. Widział ją, nie miała wątpliwości. Chwilę później rzucił się na nią ze zdwojoną energią.

Wokół jej stóp leżało mnóstwo domowego śmiecia. Najcięższa była połyskująca kostka. Schyliła się i podniosła ją do góry. Stała wyprostowana. Frank już był przy niej.

Wydała z siebie bojowy okrzyk i z całej siły zdzieliła go kostką w głowę. Posłyszała trzask plastiku o kość. Bestia zatoczyła się do tyłu, a Kirsty rzuciła się w kierunku drzwi, lecz zanim dosięgnęła klamki, cień skoczył ku niej raz jeszcze i odciągnął ją w tył przez pokój. Frank oszalał ze złości.

Teraz nie myślał już o niczym innym, tylko o zemście. Jego ciosy miały zabić dziewczynę. Jeśli jeszcze żyła, to nie tyle dzięki zwinności, ale raczej przez niedokładność rozwścieczonej bestii. Tak czy inaczej, co trzecie uderzenie odczuwała boleśnie. Miała dotkliwie poranioną twarz i piersi. Była bliska utraty przytomności.

Przypomniała sobie raptem, że w jej ręku wciąż tkwi ozdobna kostka. Kiedy uniosła ją do góry, Frank nagle zaprzestał ataków.

Wyciągnął do niej rękę. Kirsty miała teraz chwilkę na zastanowienie się, czy śmierć nie będzie lepszym rozwiązaniem niż walka. Wtedy Frank powiedział:

- Daj mi to...

Chciał jej odebrać pamiątkę po swoich ranach, ale Kirsty nie zamierzała pozbywać się jedynej broni, jaka jej pozostała.

- Nie - odpowiedziała.

Zażądał po raz drugi. W jego głosie wyczuła wyraźny niepokój. Zdaje się, że kostka była dla niego zbyt cenna, by miał ryzykować odebranie jej siłą.

- Ostatni raz - powiedział. - Bo cię zabiję. Daj mi kostkę.

Ważyla swoje szansę. Co miała do stracenia?

- Powiedz „proszę” - zażądała.

Gorączkowo rozmyślał nad jej propozycją, warcząc gardłowo. A potem, jak grzeczne, acz wyrachowane dziecko, powiedział:

- Proszę.

To słowo było dla niej wszystkim. Cisnęła kostką prosto w okno całą siłą swoich drżących ramion. Skrzynka poszybowała ponad głową Franka, roztrzaskała szybę i zniknęła z widoku.

- Nie! - wrzasnął i w ułamku sekundy był przy oknie. - Nie! Nie! Nie!

Pośpieszyła do drzwi. Każdym krokiem ryzykowała, że poślizgnie się na resztkach porozwalanych po podłodze.

Wydostała się na korytarz. Niemal potoczyłaby się po schodach, ale jakoś przebiegła aż do sieni bez upadku.

Na górze odezwała się bestia. Wołał ją znowu. Ale tym razem nie da się pochwycić.

Przebiegła przez korytarz do drzwi. Otworzyła je i wydostała się z koszmarnego królestwa bestii.

Na dworze w tym czasie rozjaśniło się. Słońce, krótko przed zejściem, świeciło pełnym blaskiem. Zastaniając oczy, Kirsty biegła w dół do ulicy. Pod stopami usłyszała chrzęst tłuczonego szkła. Spozobiegła też swoją broń. Podniosła kostkę, dzięki której uratowała życie, i zaczęła biec. Kiedy dotarła do ulicy, zaczęły nachodzić ją słowa -

beznadziejne mamrotanie, gaworzenie, bełkot idioty. Fragmenty słów i zdań, nazwy tego, co widziała i czuła. Ale na Lodovico Street nie było żywej duszy. Zaczęła biec z całych sił, aż nabrała przekonania, że jest dostatecznie oddalona od zabandażowanej bestii.

W końcu, błakając się po nieznamym ulicy, ktoś ją zaczepił i zapytał, czy nie potrzebuje pomocy. Odrobina uprzejmości pokonała ją. Nie była w stanie wydobyć z siebie jakiegokolwiek składnej odpowiedzi. Jej wyczerpany umysł stracił jasność widzenia.

## **ROZDZIAŁ DZIESIĄTY**

Kirsty obudziła się we mgle. Przynajmniej takie było jej pierwsze wrażenie. Ponad sobą widziała doskonale czystą biel: śnieg na śniegu. Była zasypana śniegiem, otulona śniegiem. Zdawało się, że pustka przepelnia jej gardło i oczy.

Uniosła ręce. Zbliżyła je do twarzy. Pachniały jakimś nie znanym mydłem o ostrym zapachu. Teraz zaczęła widzieć. Ściany, prześcieradła, lekarstwa obok łóżka. Jest w szpitalu.

Zawołała o pomoc. W kilka godzin, a może minut później - nie była pewna - ktoś podobny do pielęgniarki przyszedł i powiedział:

- Obudziła się pani - i poszedł poinformować swoich przełożonych.

Nic im nie powie. Zdecydowała w czasie między zniknięciem pielęgniarki a przyjściem lekarzy,

że nie jest to opowieść, którą można komuś przekazać. Może jutro spróbuje znaleźć słowa, które mogłyby przekonać ich, co widziała. Ale dzisiaj? Jeśli spróbowałaby coś tłumaczyć, zmarszczyłaby brwi i kazali przestać opowiadać bzdury.

Spróbowałaby jej wmówić, że miała halucynacje. A jeśli upierałaby się, na pewno daliby jej środki odurzające, co jeszcze pogorszyłoby sprawę. Potrzebowała czasu do namysłu.

Przemyślała to wszystko, zanim przyszli. Jeśli zapytają, miała już gotowe kłamstwo pod ręką. Powie im, że wszystko pamięta jak przez mgłę. Nawet nie za bardzo pamięta, jak się nazywa.

Lekarze kupili kłamstwa i stwierdzili, że pamięć wróci z czasem. A ona na to, że ma nadzieję. Kazali jej spać. Ona im powiedziała, że tylko o tym marzy. Ziewnęła. Wyszli.

- Aha - powiedział jeden z nich, kiedy zbierali się do odejścia - byłbym zapomniiał.

Lekarz miał w ręku kostkę Franka.

- Trzymała to pani w ręku, kiedy panią znaleziono. Mieliśmy cholerny problem, żeby to pani wydrzeć z ręki. Czy to się pani z czymś kojarzy?

Powiedziała, że z niczym.

- Policja to obejrzała. Na kostce była krew. Może pani, może nie.

Zbliżył się do niej:

- Czy pani chce ją? - zapytał i dodał: - Została umyta.

- Tak - odparła. - Proszę.

- Może to pozwoli pani odzyskać pamięć - powiedział i postawił kostkę na podłodze obok stolika.

Co teraz zrobimy? - zapytała Julia po raz setny. Człowiek siedzący w kącie nie odpowiedział. Jego zniszczona twarz nie wyrażała żadnego uczucia.

- Czego ty właściwie od niej chciałeś? - zapytała, - Wszystko zepsułeś.

- Zepsułem? - zapytał potwór. Nie wiesz chyba, co to słowo znaczy.

Przełknęła gniew. Jego pouczanie denerwowało ją.

- Frank, musimy stąd zniknąć - powiedziała miękkiem głosem.

Rzucił jej lodowate spojrzenie.

- Przyjdą szukać - powiedziała. - Ona im powie wszystko.

- Może...

Nic cię to nie obchodzi?

Kupa bandażu wzruszyła ramionami:

- Obchodzi - powiedział. - Oczywiście. Ale nie możemy stąd teraz wyjechać, kochanie.

Kochanie! Słowo uderzyło ich oboje. Jak oddech sentymentu i czułości w pokoju, który znał tylko ból.

- Nie mogę się tak nigdzie pokazać - wskazał na swoją twarz. - Powiedz sama! - rzekł, patrząc na Julię wyczekująco. - Po prostu spójrz na mnie.

Spojrzała.

- I co, mogę?

- Nie.

- Nie - wrócił do kontemplowania podłogi. - Julio! Ja potrzebuję skóry.

- Skóry?

- Więc może... może pójdziemy razem potańczyć. Czy nie tego chcesz?

Mówił o tańcu i o śmierci z taką samą nonszalancją, jakby obie te rzeczy nie miały dla niego prawie żadnej wartości. Słuchając, Julia uspokajała się.

- Jak? - zapytała w końcu. Znaczyło to: jak możemy ukraść skórę i jak wytrwać przy zdrowych zmysłach?

- Są sposoby - powiedziała rozmyta twarz i posłała jej całusa.

\* \* \*

Gdyby ściany nie były tak przerażająco białe, nigdy by nie podniosła kostki. Gdyby był jakiś obraz, na którym mogłaby zatrzymać wzrok - wazon ze słonecznikami, widok na piramidy - cokolwiek, co urozmaiciłoby monotonię pokoju. Kirsty byłaby naprawdę zadowolona, gdyby miała coś, na co mogłaby się gapić. Miała już dość pustki, więc sięgnęła pod stół i podniosła kostkę.

Była nieco cięższa niż ją zapamiętała. Musiała usiąść i dokładnie ją zbadać. Nie było wiele do oglądania. Nie było dziurki na kluczyk. Nie było też zawiasów. Bez względu na to, czy oglądała ją tysiąc razy, czy jeden raz - nie potrafiła jej otworzyć. Była pewna, że kostka nie jest wykonana z jednej części. Musiał istnieć sposób, by ją otworzyć. Jaki?

Trzaskała nią o stół, potrząsała, ciągnęła, naciskała. Wszystko bez rezultatu. Dopiero kiedy obróciła się na bok, w jasnym świetle lampy zobaczyła drobne szczegóły konstrukcji.

Na ścianie kostki były mikroskopijnej wielkości przerwy, gdzie jeden kawałek łamigłówki zachodził na inny. Byłyby całkiem niewidoczne, ale zostały tam drobinki krwi, zdradzając skomplikowane połączenia części.

Pracując systematycznie, rozpoznawała konstrukcję, metodą prób i błędów naciskała i popychała części. Po liniach zorientowała się w ogólnej geografii zabawki. Bez nich mogłaby się nią bawić bez rezultatu do końca. Możliwości manewru były jednak znacznie ograniczone dzięki odkrytym krawędziom elementów składowych zabawki.

Przez jakiś czas usiłowała rozpracować układankę, aż w końcu jej cierpliwość została nagrodzona. Delikatny trzask i nagle oczom jej ukazały się polakierowane, lśniące ścianki wewnętrzne. W środku była po prostu piękna. Wypolerowane powierzchnie, jak najszlachetniejsza perła, ukazywały kolorowe cienie. Zdawało się, że poruszają się w świetle.

Dała się też słyszeć muzyka. Prosta melodyjka, dobywała się z wnętrza elementów kryjących mechanizm pozytywki. Zachęcona sukcesem, pracowała nad zabawką dalej. Mimo że udało jej się usunąć jedną część, reszta ani drgnęła. Każdy segment stawiał wobec jej umysłu i palców nowe zadania. Każde zwycięstwo nagradzane było kolejną frazą melodii.

Zdejmowała już czwarty element, kiedy usłyszała bicie dzwonu. Przestała się bawić i spojrzała w górę.

Coś było nie tak. Albo jej zmęczone oczy myliły ją, albo mglisto białe ściany poruszyły się nieco. Odłożyła kostkę, wstała z łóżka i podeszła do okna. Dzwon wciąż dzwonił jednostajnym biciem. Odsunęła nieco zasłony. Była noc. Za oknem wiał przejmujący wiatr. Liście przewalały się po trawniku przed szpitalem. Jednak odgłos dzwonu nie dochodził z zewnątrz. Raczej zza jej pleców. Wypuściła z rąk zasłonę i odwróciła się.

Kiedy spojrzała na pokój, lampka nocna przy łóżku zamigotała niczym żywy ogień.

Instynktownie sięgnęła po kostkę. Fragmenty jej i te dziwne znaki musiały mieć z sobą coś wspólnego. Kiedy dotknęła kawałków kostki, światło całkiem zgasło.

Nie znalazła się jednak w ciemnościach. Nie była też sama. Na końcu łóżka coś fosforyzowało. Dostrzegła jakąś postać. Ciało, które przekroczyło jej wyobrażenie - haki, blizny. Kiedy postać przemówiła, nie miała bynajmniej głosu przepelnionego bólem.

- To się nazywa Konfiguracja Lemarchanda powiedziała postać, wskazując na kostkę.

Kirsty spojrzała. Kawałki kostki nie leżały już na jej dłoni, ale unosiły się kilkanaście centymetrów ponad nią. W cudowny sposób kostka składała się sama, bez niczyjej pomocy.

Kawałki wsuwały się na swoje miejsce po kolei i wreszcie cała konstrukcja znów była całością. Na wypolerowanych płaszczyznach dziewczyna dostrzegała pokrzywione odbicia twarzy duchów

poskręcanych przez zawiść albo nierówność ścian kostki.

Przybysz znów zaczął mówić:

- Kostka jest przeznaczona do rozłupywania powierzchni rzeczywistości - powiedział.

- Jest to rodzaj inwokacji, za pomocą której można powiadomić o czymś Cenobitów.

- Kogo?

- Ty to zrobiłaś nieświadomie - powiedział gość. - Prawda?

- Tak.

- To już miało miejsce wcześniej - odpowiedział. - Ale jest na to sposób. Nie można zamknąć

Schizmy, aż nie weźmiemy tego, co do nas należy...

- To chyba jakaś pomyłka...

- Nie próbuj walczyć. Nie masz na to wpływu. Musisz mi teraz towarzyszyć.

Potrząsnęła głową. Miała już dość koszmarów na całe życie.

- Nie pójdę z tobą, do cholery, nie pójdę...

Kiedy to mówiła, do pokoju weszła pielęgniarka, której nie rozpoznała - pewnie z nocnej zmiany.

- Czy pani mnie wzywała? - zapytała. Kirsty spojrzała na Cenobitę, a potem znowu na pielęgniarkę. Stali może w odległości jednego metra od siebie.

- Ona mnie nie widzi - powiedziała postać. - Ani nie słyszy. Ja należę do ciebie, Kirsty. A ty do mnie.

- Nie - powiedziała.

- Czy jest pani pewna, że nic nie potrzebuje? - zapytała pielęgniarka. - Wydawało mi się, że słyszałam...

Kirsty potrząsnęła przecząco głową. To były przywidzenia, tylko przywidzenia.

- Proszę iść do łóżka - powiedziała pielęgniarka. - Przezięb się pani. Będę tu za pięć minut. - I wyszła.

Cenobita zaśmiał się.

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Rory stał w sieni i patrzył na Julię. Swoją Julię. Kobiętę, której kiedyś poprzysiągł

wierność i miłość aż do śmierci. Zdawało mu się wówczas, że nie będzie zbyt trudno dotrzymać danego słowa. Odkąd pamiętał, zawsze idealizował ją. Śnił o niej po nocach, a w ciągu dnia pisywał miłosne poezje. Ale wszystko się zmieniło. Z czasem najwięcej bólu przynosiły mu te częste drobne zmiany. Ostatnio zdarzało mu się wręcz, że wolałby śmierć pod kopytami dzikich koni niż gryzące go podejrzenie, że dawno już utracił radość życia.

Nie mógł wręcz uwierzyć, że kiedyś wszystko szło tak doskonale, kiedy teraz tak stał i patrzył na nią. Teraz wszystko spowite było cieniem wątpliwości. Tonęło w brudzie.

Był zadowolony tylko z jednej rzeczy: wyglądała na zmartwioną. Może znaczyło to, że w powietrzu wisi jej spowiedź wobec niego. Może zechce wyrzucić wreszcie z siebie swe tajemnice, a on będzie mógł jej wszystko wybaczyć.

- Wyglądasz na zasmuconą - powiedział.

Wahała się przez moment, a potem powiedziała:

- To bardzo trudne, Rory...

- Co?

Wyglądała tak, jakby nawet nie miała siły zacząć.

- Co? - powtórzył.

Mam ci tyle do powiedzenia. Zauważył, że tak mocno ściska poręcz schodów, aż palce zbladły jej całkowicie.

- Słucham cię - zaoferował się. Był gotów znów ją pokochać, jeśli tylko uczciwie powie mu, o co chodzi. - Powiedz mi.

- Myślę, że lepiej... lepiej jak ci pokażę - powiedziała. Wzięła go za rękę i zaprowadziła po schodach na piętro.

\* \* \*

Wiatr przewalający się po ulicach nie był zbyt ciepły, jeśliby sądzić po tym, jak piesi podnosili kołnierze i chylili głowy. Ale Kirsty nie czuła chłodu. Czyżby to jej niewidoczny towarzysz nie dopuszczał zimna do niej, ogrzewając ją ciepłem ognia, w którym Pradawni palili grzeszników? A może była po prostu zbyt przerażona, by czuć chłód?

Ale ona wcale nie czuła strachu. To, co wywracało jej wnętrze, było znacznie bardziej przejmujące. Otworzyła drzwi - te same, które otworzył brat Rory'ego. I teraz szła ramię w ramię z demonami. A u kresu swej wędrówki zasmakuje zemsty. Odnajdzie tego, który ją zranił i przeraził. Sprawę, że poczuje się bezradny tak jak ona wówczas dzięki niemu. Chciała patrzeć, jak będzie się wił w mękach. Wręcz będzie się cieszyła z tego widoku.

Doświadczenie bólu nauczyło ją sadyzmu.

Szła przez Lodovico Street i rozglądała się za jakimś znakiem Cenobity, ale niczego nie spostrzegła. Mimo to zbliżyła się do domu. Nie miała żadnego gotowego planu: było zbyt wiele spraw, których nie mogłaby przewidzieć. Po pierwsze, będzie tam Julia. Kirsty nie miała pojęcia, do jakiego stopnia ona była w to wmieszana. Chyba nie była niewiniątkiem.

Ale być może działała pod przymusem? Najbliższe minuty być może dadzą jej odpowiedź.

Zadzwoiła do drzwi i czekała.

Drzwi otworzyła Julia. W rękę trzymała długą, białą koronkę.

- Kirsty - powiedziała, wcale nie zmieszana jej widokiem. - Jest już późno...

- Gdzie jest Rory? - zaczęła Kirsty. Nie takie miały być jej pierwsze słowa, ale jakoś tak już wyszło.

- Jest tutaj - odpowiedziała Julia spokojnie, jakby chciała uspokoić rozeźlone dziecko.

- Czy coś się stało?

- Chciałabym się z nim zobaczyć - odpowiedziała Kirsty.

- Z Rory'm?

- Tak...

Przekroczyła próg bez czekania na zachętę. Julia nie sprzeciwiła się i tylko zamknęła za nią drzwi.

Teraz Kirsty poczuła chłód. Stała w sieni i drżała.

- Wyglądasz okropnie... - powiedziała wprost Julia.

- Byłam tu tamtego popołudnia - wyrzuciła z siebie. - Widziałam, co się stało.

Widziałam!

- A co tu było takiego do oglądania? - padło pytanie. Wyraz twarzy Julii nie zmienił się.

- Dobrze wiesz.

- Ale naprawdę nie wiem, o co ci chodzi.

- Chcę rozmawiać z Rory'm...

- Oczywiście - odpowiedziała Julia. - Ale ostrożnie. Nie czuje się najlepiej.

Poprowadziła Kirsty przez jadalnię. Rory siedział przy stole. Dłońmi ścisnął szklanekę z alkoholem. Obok stała butelka. Na przystawionym obok krześle zawieszona była ślubna suknia Julii. Jej widok przypominał Kirsty koronkę w ręku Julii.

Rory wyglądał bardzo źle. Na twarzy i na włosach miał zaschniętą krew. Uśmiechnął się do niej ciepło, ale z wyraźnym zmęczeniem.

- Co się stało?... - zapytała.

- Teraz już wszystko jest w porządku, Kirsty - powiedział. Głos z ledwością można było nazwać szeptem. - Julia powiedziała mi wszystko... ale teraz już jest w porządku.

- Nie - powiedziała, przekonana, że Rory nie może znać całej prawdy.

- Przyszłaś tu wczoraj po południu.

- Tak jest.

- Trochę niefortunnie.

- Przecież ty... ty mnie sam prosiłeś... Spojrzała na stojącą w drzwiach Julię i potem przeniosła wzrok na Rory'ego:

- Zrobiłam to, o co mnie prosiłeś.

- Tak. Ja wiem. Wiem. Przykro mi teraz, że przeze mnie wpakowałaś się w te obrzydlistwa...

- Czy wiesz, co zrobił twój brat? - zapytała. - Czy wiesz, kogo wezwał?

- Wiem dość dużo - odpowiedział Rory. - Ważniejsze jest to, że już po wszystkim.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cokolwiek tobie zrobił, ja to naprawię...

- Co masz na myśli mówiąc, że już po wszystkim?

- Kirsty! On nie żyje!

(„... dostarcz go żywego, a może nie rozedrzemy ci duszy”.)

- Nie żyje?

- Zniszczyliśmy go. Ja i Julia. Nie było to zbyt trudne. Myślał, że mnie może zaufać.

Widzisz, on myślał, że krew jest bardziej gęsta niż woda. Ale nie jest. Nie zniósłbym, żeby taki człowiek nadal żył...

Czuła, że żołądek podszedł jej do gardła. Czy Cenobici ostrzą swe haki na nią?

- Byłaś tak dzielna, Kirsty. Tak wiele ryzykowałeś przychodząc tu...

(Coś siedziało jej na ramieniu:

- „Oddaj mi swoją duszę”.)

-... Pójdę na policję, kiedy poczuję się trochę lepiej. Spróbuję im to jakoś wytłumaczyć...

- Ty go zabiłeś? - zapytała.

- Tak.

- Nie wierzę - wyszeptała.

- Weź ją na górę - powiedział Rory patrząc na Julię. - Pokaż jej.

- Chcesz zobaczyć? - zapytała Julia.

Kirsty skinęła głową i ruszyła za nią.

Na piętrze było cieplej niż na dole. Powietrze było jakby tłuste, jak parująca woda po zmywaniu naczyń. Drzwi do pokoju Franka były uchylone. Na gołej podłodze leżała kupa bandażu, spowijająca parujące jeszcze zwłoki. Szyja trupa była roztraskana, głowa wyrwana z ramion. Od stóp do głowy pozbawiony był skóry.

Kirsty odwróciła głowę z obrzydzeniem.

- I co? Zadowolona? - zapytała ją Julia.

Kirsty nie odpowiedziała, tylko wyszła z pokoju. Powietrze na jej ramieniu kotłowało się.

(- „Przegrałaś” - coś powiedziało jej wprost do ucha.

- Wiem - wymamrotała.)

Zaczął bić dzwon. Na nią, na pewno. Pośpieszyła w dół schodami, modląc się, żeby jej nie

zabrali, zanim nie dosięgnie drzwi. Jeśli mają jej wydrzeć serce, niech Rory tego nie widzi. Niech zapamięta ją w dobrej formie: z uśmiechem na ustach, a nie błaganiem.

Julia, idąc za nią, zapytała.

- Dokąd się śpieszysz?

Skoro nie było na to żadnej odpowiedzi, kontynuowała:

- Nie mów nic o tym nikomu - nalegała. -Jakoś sobie z tym poradzimy: ja i Rory.

Jej głos odciągnął Rory'ego od drinka. Pojawił się na korytarzu. Rany zadane przez Franka wyglądały znacznie poważniej niż Kirsty myślała. Twarz była poorana w kilkunastu miejscach, a skóra na szyi - pofałdowana. Kiedy do niego podeszła, chwycił ją za rękę.

- Julia ma rację - powiedział. - Pozwól nam złożyć meldunek, dobrze?

W tej chwili było wiele rzeczy, o których chciała mu powiedzieć, ale nie miała na to czasu. Bicie dzwonów przybrało na sile w jej głowie. Ktoś zarzucił jej pętlę na szyję i zaciskał z wolna.

- Jest już za późno... - wyszeptała do Rory'ego i wzięła z powrotem rękę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał, kiedy szła do drzwi. - Nie odchodź, Kirsty.

Jeszcze nie odchodź. Powiedz mi, co cię dręczy.

Nie mogła powstrzymać się, żeby raz jeszcze nie rzucić na niego okiem w nadziei, że sam odczyta z jej twarzy cały jej żal.

- Już w porządku - powiedziała słodko, mając nadzieję, że go tym uspokoi. -

Naprawdę.

Rory rozwarł szeroko ramiona:

- Chodź do tatusia - powiedział.

Nie zabrzmiało to naturalnie w jego ustach. Niektórzy chłopcy nigdy nie dorastają, by być tatusiami, bez względu na to, ile dzieci mogą spłodzić.

Kirsty oparła się ręką o ścianę, żeby się uspokoić.

To nie był Rory. Ten, kto to mówił, nie był Rory'm. To był Frank. Nie wiedziała jak, dlaczego, ale... to był Frank.

Czaszkę rozsadzał jej huk dzwonów, lecz starała się skupić myśli na tym odkryciu.

Rory uśmiechał się, wyciągając do niej ramiona. Mówił też coś, ale nie była w stanie rozróżnić słów. Miękkie ciało jego twarzy nadawało słowom brzmienie, ale dzwony zagłuszały wszystko. W efekcie była im za to wdzięczna. Nie dała się zwieść pozorom.

- Wiem, kim jesteś... - powiedziała nagle, niepewna, czy jej słowa są słyszalne, czy nie. Miała jednak pewność, że mówi prawdę. Ciało Rory'ego było na górze. Spowite bandażami Franka. Ukradzona skóra była teraz nawleczona na ciało jego brata. A małżeństwo zostało zerwane przelewem krwi. Tak! Tak było!

Pętla na szyi zaciskała się. Zostały jej chwile, zanim zostanie zaciągnięta w nicość.

Zdesperowana, skoczyła z powrotem w stronę potwora o twarzy Rory'ego.

- To ty! - powiedziała.

Twarz uśmiechnęła się, nie tracąc pewności siebie.

Zamierzyła się na niego ręką i usiłowała uderzyć. Cofnął się, unikając jej dotyku.

Dzwony były nieubłagane, kotłując jej mózg pod sklepieniem czaszki. Znowu wyciągnęła rękę do przodu. Tym razem nie udało mu się odskoczyć. Schwyciła go za twarz. Paznokcie wpiły się w mięso policzka. Skóra, z taką pieczołowitością naciągana na kształty, zsunęła się troszkę, niczym miękki jedwab. Oczom jej ukazało się silnie ukrwione ciało.

Julia za jej plecami zaczęła krzyczeć.

I nagle dzwony ucichły. Nie! Nie ucichły, ale nie były już w głowie Kirsty, lecz w całym domu.



Światła na korytarzu zajaśniały nadspodziewanie mocno i nagle całkiem zgasły. Przez chwilę, kiedy zapadły całkowite ciemności, słyszała łkanie, być może dobywające się z jej własnych ust. A potem jakieś przerażające widowisko, jakby pokaz ogni sztucznych, zaczęło rozgrywać się na ścianach i na podłodze. Korytarz tańczył. Ściany po kolei zaczęły giąć się, łamać i wywijać. Wszystko w szaleńczym tempie i w blasku ognia.

W pewnej chwili, w świetle kolejnego rozbłysku, zobaczyła, że Frank zbliża się do niej. Z twarzy zwiślały mu fragmenty fizjonomii Rory'ego. Odskoczyła i umknęła do dużego pokoju. Uścisk na jej gardle zelżał. Najwidoczniej Cenobici dostrzegli swój błąd. Wkrótce, miała nadzieję, wkroczą do akcji. Czekala aż zaprowadzą ład w tej farsie pomyślonych tożsamości. Teraz już nawet nie chciała widzieć męczarni Franka. Miała już dosyć. Zamiast tego chciała uciec tylnymi drzwiami z domu i pozostawić Franka na ich pastwę.

Ale jej optymizm był krótkotrwały. Fajerwerki z korytarza dotarły też i do jadalni. W ich świetle zobaczyła, że ten pokój zwariował także. Coś przesuwalo się po podłodze, jak kurz na wietrze. Krzesła wznosiły się i opadały. Być może była niewinna, ale tajemne siły nie miały głowy do takich bzdur. Wiedziała, że jeśli zrobi jeszcze jeden tylko krok, to narazi się na ich zemstę.

Jej wahanie ułatwiło Frankowi dotarcie do uciekającej dziewczyny. Kiedy tylko wyciągnął do niej rękę, rozbłyski w korytarzu ustały i wymknęła się mu pod osłoną ciemności. Lecz jej radość trwała krótko. Nowe światła rozjaśniły korytarz. Znów jej dopadał, tarasując drogę ucieczki.

Dlaczego nie zabierali go, na miłość boską? Czyż nie przyprowadziła im go, zgodnie z obietnicą, i nie zdemaskowała?

Frank rozpiął marynarkę. Za pasem miał okrwawiony nóż. Wyciągnął go i skierował w stronę Kirsty.

- Od tej chwili - powiedział nacierając na nią - jestem Rory...

Nie miała wyboru, tylko cofać się w stronę drzwi.

- Rozumiesz? Jestem Rory. I nikt nigdy tego nie będzie wiedział lepiej ode mnie!

Piętami dotknęła brzegu schodka, lecz nagle poczuła na sobie jeszcze inne dłonie.

Wyciągały się do niej przez poręcz i zaciskały na jej włosach. Odwróciła twarz. To była Julia, oczywiście. Odciągnęła z kamienną twarzą głowę Kirsty do tyłu, odsłaniając gardło. Nóż Franka był tuż, tuż.

W ostatniej chwili Kirsty wyciągnęła ramiona do góry i wykręciła rękę Julii. Zwaliła ją z jej stanowiska o trzy stopnie wyżej. Julia straciwszy równowagę zachwiała się i poleciała w dół. Ostrze noża w dłoni Franka było zbyt blisko, by miał czas usunąć je. Nóż przeszył jej pierś jak masło. Julia jęknęła i skulała się ze schodów z łomotem. Nóż, wyrwany z ręki Franka, stoczył się wraz z ciałem.

On jednak prawie tego nie zauważył. Oczy skierował na oświetlaną coraz to nowymi błyskami Kirsty. Nie miała innej drogi ucieczki niż tylko na górę. Pośród fajerwerków i bicia dzwonów ruszyła przed siebie, schodami pod górę.

Widziała, że Frank nie od razu za nią ruszył. Błagania Julii o pomoc odwróciły jego uwagę od dziewczyny. Podeszedł do jej ciała, w połowie drogi między drzwiami i schodami.

Wyciągnął nóż z jej piersi. Krzyczała i płakała z bólu. Frank na klęczkach obszedł ją. Uniosła rękę w oczekiwaniu na ostatni uścisk miłości przed skonaniem. Frank położył jej ramię pod głowę i przybliżył się do niej. Kiedy ich twarze niemal zetknęły się, Julia z przerażeniem odkryła, że jego zamiary dalekie są od współczucia. Otworzyła usta do krzyku, ale on zamknął

je swymi i zaczął wysysać pożywienie. Kopnęła powietrze. Rękami usiłowała chwycić pustą przestrzeń. Wszystko na nic.

Oderwawszy oczy od tej przerażającej sceny, Kirsty czołgała się na górę.

Na piętrze nie było jednak żadnej prawdziwej kryjówki. Nie było też żadnej drogi na zewnątrz, chyba że przez okno. Po tym, co Kirsty widziała przed chwilą, była gotowa nawet na to. Upadając połamie sobie pewnie wszystkie kości, ale przynajmniej nie dosięgnie jej śmierć z ręki potwora.

Zdawało się, że fajerwerki przygasają. Korytarz spowijały gęste ciemności. Człapała raczej wzdłuż ścian niż szła, palcami odnajdując drogę.

Na dole Frank skończył z Julią i znów ruszył w pościg.

Kiedy wstąpił na schody, znowu zaczął powtarzać swe obrzydliwe zaproszenie:

- *Chodź do tatusia.*

Była przekonana, że Cenobici obserwują te sceny nie bez rozbawienia. Doszła do wniosku, że nie włączą się, dopóki na arenie nie pozostanie tylko jeden z gladiatorów: Frank.

Była tylko zakąską do ich prawdziwej przyjemności.

- Gnoje... - zaszlochała mając nadzieję, że ją usłyszą.

Doszła prawie do końca korytarza. Dalej była tylko graciarnia. Nie wiedziała, czy okno jest tam dostatecznie duże, by mogła się przez nie wydostać. Jeśli tak, skoczy. Skoczy i przeklnie ich wszystkich: Boga i Szatana, i wszystko, co pomiędzy nimi. Skoczy w nadziei, że spadnie na beton. Że jej koniec będzie szybki.

Frank znów ją wołał; był prawie u szczytu schodów. Przekręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi do graciarni i weszła do środka.

Tak. Było okno. Nie było na nim żadnych zasłon, a światło księżycy przelewało się po zwaliskach niepotrzebnych nikomu rzeczy, pudeł i mebli. Załamana już kompletnie, przedarła się do okna. Było lekko otwarte, by pokój mógł się wietrzyć. Usiłowała odsunąć górną jego część, by powiększyć szczelinę, ale łożyska po bokach były przerdzewiałe. Okno ani drgnęło.

Szybko zatem rozejrzała się za kryjówką. Liczyła kroki na schodach - mniej niż dwadzieścia, a więc Frank jeszcze ma trochę do przebycia. Wzięła do ręki worek leżący obok fotela, ale z przerażeniem odkryła, że w środku jest martwe ciało. Mężczyzna, dokładnie poćwiartowany, leżał tam wybałuszając na nią dzikie, zastygłe w bezruchu oczy. Nogi stykały się z policzkiem. Już miała krzyknąć z przerażenia, gdy posłyszała kroki Franka.

- Gdzie jesteś? - zapytał.

Zatkała sobie usta ręką, by powstrzymać okrzyk obrzydzenia. W tym momencie klamka w drzwiach została naciśnięta. Oskoczyła z pola widzenia i ukryła się za przewróconym fotelem. Przełknęła swój krzyk.

Drzwi otworzyły się. Słyszała zmęczony oddech Franka. Słyszała miękki odgłos jego kroków na podłodze. Potem znowu usłyszała skrzypienie drzwi i Frank wyszedł. Zamek trzasnął, zaskakując. Cisza.

Czekała licząc do trzynastu, potem wychyliła się, niepewna, czy Frank rzeczywiście poszedł. Bała się, że zaczął się tylko w oczekiwaniu na jej niezręczność. Ale nie. Nie było go tu.

Zatrzymanie oddechu i krzyku przyniosło teraz najmniej oczekiwany efekt uboczny: czkawkę. Pierwsze czknięcie było tak niespodziewane, że Kirsty nie zdążyła położyć sobie dłoni na ustach. Rozbrzmiało, jak ładowanie strzelby. Nie słyszała też odgłosów wskazujących na to, że Frank zamierzał zejść ze schodów. Wydawało się, że jest poza zasięgiem słuchu. Podeszła raz jeszcze do okna, mijając po drodze trumnę z worka.

Czknęła po raz drugi. Trzeci i czwarty raz odezwało się czknięcie, kiedy bezskutecznie mocowała się z opornym oknem.

Przez moment rozważała ewentualne rozbicie szyby i wezwanie krzykiem pomocy.

Rychło jednak porzuciła ten zamiar. Frank przeżyłaby jej oczy w momencie, w którym

ktokolwiek z sąsiadów zdołałby się choć trochę rozbudzić.

Powróciła do drzwi i uchyliła je złorzecząc skrzypiącym zawiasom. Ani śladu po Franku. Przynajmniej na ile jej oczy mogły dostrzec cokolwiek w ciemności. Ostrożnie otworzyła drzwi nieco szerzej i znowu była na korytarzu.

Ciemności zdawały się być żywym ciałem; czuła na sobie grobowe pocałunki. Zrobiła trzy kroki. Nic. Czwarto. Też nic. Kiedy postawiła nogę po raz piąty, ciało jej popękało samobójczą gafę. Czkawka! Ręka nie zdążyła nawet drgnąć.

Tym razem odgłos dotarł do jej prześladowcy.

- Aaaa! Tu jesteś - odezwał się cień. Frank wypadł z sypialni i zagroził jej drogę. Był złaźniony pożywienia. Wydawał się szeroki jak cały korytarz. Cuchnął mięsem.

Nie miała nic do stracenia. Krzyknęła z całych sił, kiedy ją dopadł. Jej przerażenie jakby dodatkowo podniecało potwora. Była o włos od ostrza noża, ale rzuciła się w bok i zauważyła, że raptem znalazła się w pobliżu pokoju Franka. Był tuż za nią, zachwycony perspektywą łowów.

Wiedziała, że w tym pokoju jest okno. Sama je przecież rozbiła kilka godzin temu.

Ale ciemności były nieprzeniknione. Nie widziała kompletnie nic. Nie docierał nawet blask księżycy. Zdawało się, że Frank zagubił się tak samo. Zawołał na nią; wezwaniu towarzyszył świst przeszywanego nożem powietrza. W prawo i w lewo, w lewo i w prawo, Frank szukał Kirsty, tnąc przestrzeń przed sobą. Postępując do przodu nagle poczuła, że nogą haczy o bandaż. W następnej chwili omal nie upadła, zatrzymawszy się na czymś. Nagle utraciła równowagę i jednak zwała się ciężko na podłogę. Nie. Nie na podłogę. Pod nią leżało oślizłe, zimne ciało Rory'ego.

- Tutaj jesteś - powiedział Frank. Cięcia noża przybliżyły się na kilka centymetrów do jej głowy. Ale ona nie przejmowała się teraz nimi. Położyła ręce na ciele na podłodze. Śmierć była niczym Wobec bólu po stracie ukochanego.

- Rory - zajęczała, z dumą myśląc, że jego imię będzie na jej ustach, kiedy umrze.

- Tak jest! - zawołał z triumfem Frank. -Rory!

Fakt, że imię Rory'ego zostało ukradzione wraz z jego skórą, był niewybaczalny.

Zawrzał w niej gniew. Skóra to nic takiego; nawet świnie i węże ją mają. Składała się przecież z martwych komórek, ścierających się i wyrastających na nowo. Ale imię? To było zaklęcie, które przywołało wspomnienia. Nie pozwoli na to, by Frank uzurpował sobie prawo do imienia Rory'ego.

- Rory nie żyje - powiedziała. Własne słowa zaskoczyły ją, ale też przywiodły na myśl pewien pomysł.

- No, mała! - zawołał Frank.

Czy przypadkiem Cenobici nie czekali, aż Frank sam wypowie swoje imię? Czy przybysz nie wspomniał o tym, że Frank musi się wypowiedzieć?

- Ty nie jesteś Rory'm - powiedziała.

- Tylko my to wiemy - padła odpowiedź. -Nikt więcej...

- Kim więc jesteś?

- Biedaczysko. Tracisz zmysły, prawda?

- A więc kim jesteś?

- Ależ ty jesteś ciekawska...

- Kim jesteś?

- Daj spokój, dziecino - odparł. Przybliżył się do niej w ciemności. Twarz przysunął do jej twarzy. - Wszystko idzie tak dobrze, jak tylko może...

- Tak?

- Tak. Frank jest tutaj, dziecinko.

- Frank?

- Właśnie tak. Bo Frank, to ja! Wypowiadając te słowa zadał jej pchnięcie, ale ona, przewidziawszy to, usunęła się w ostatniej chwili. W sekundę później dzwon znowu zaczął bić, a goła żarówka na suficie zajaśniała nowym światłem. Kirsty zobaczyła Franka obok ciała brata.

Zerwał się na nogi i już miał się na nią rzucić, gdy odezwał się głos. Wypowiedział jego imię. Delikatnie, jakby uspokajał przestraszone dziecko:

- Frank.

Twarz Franka znieruchomiała po raz drugi tej nocy. Przemknął przez nią wyraz zdziwienia. Był przerażony.

Powoli odwracał głowę w stronę, z której dobiegał głos. Był tam Cenobita. Jego haczyki błyszczały. Za nim Kirsty dostrzegła trzy inne pokrzywione, pokawałkowane postacie. Frank rzucił spojrzenie w stronę Kirsty.

- Ty to zrobiłaś - powiedział.

Skinęła głową.

- Wyoś się stąd - powiedział do niej jeden z przybyłych. - Teraz to już nie twoja sprawa.

- Ty dziwko! - krzyknął Frank. - Suko! Pierdolona, zakłamana kurwo!

Wyzwiska towarzyszyły jej aż do drzwi. Kiedy położyła rękę na klamce, usłyszała, że ją goni. Odwróciła się i ze zgrozą ujrzała go oddalonego może o stopę. Wzniesiony w górę nóż mógł w każdej sekundzie zatopić w jej ciele, gdy wtem znieruchomiał, niezdolny do żadnego ruchu. Nawet o milimetr.

Cenobici zatopili już w nim swe haki. Wbili je w mięśnie rąk, nóg, twarzy. Do haków przyczepili łańcuchy. Słysząc było cichy odgłos, jak mięso stawiało opór ciągnącym go łańcuchom i rozdzierało się z lekka. Usta Franka rozwarły się nienaturalnie. Szyja i klatka piersiowa ziały otworami.

Nóż wysunął mu się z ręki i spadł na podłogę. Wyrzucił z siebie ostatnie, nieskładne przekleństwo pod jej adresem. Ciało kurczyło się i skręcało. Cał po calu ciągnęli go na środek pokoju.

- Idź - powiedział Cenobita. Kirsty i tak nic już nie mogła zobaczyć z widowiska.

Przesłaniała ich krwawa fontanna. Usłuchawszy rady otworzyła drzwi, kiedy Frank za jej plecami zaczął wrzeszczeć z bólu.

Gdy wstąpiła na korytarz, tynk posypał się z sufitu. Dom chwiał się w posadach.

Musiała iść szybko. Wiedziała, że skoro demony są na wolności, z domu może nie pozostać nawet ślad.

Mimo że nie miała zbyt wiele czasu, nie mogła odmówić sobie przyjemności spojrzenia po raz ostatni na Franka. Jakby chciała się upewnić, że już nie będzie jej prześladował.

Frank konał. Przeszyty hakami w dziesięciu lub więcej miejscach, ryczał wniebogłosy.

Nawet teraz na jego ciele pojawiały się nowe rany. Rozpostarte na podłodze, pod żarówką, jego ciało ponaciągane było do granic wytrzymałości i coraz bardziej było rozszarpywane.

Nagle krzyk ustał. Nastąpiła przerwa w katuszach. I wówczas, w ostatnim akcie nieposłuszeństwa, uniósł z wysiłkiem pokiereszowaną głowę i spojrzał na nią. Ich oczy spotkały się. Jego wzrok zdawał się pałać całą złością i nienawiścią świata.

W odpowiedzi łańcuchy zostały naciągnięte mocniej, ale Cenobitom nie udało się już wydobyć z Franka jakiegokolwiek krzyku. Wywalił tylko język w stronę Kirsty i zaraz go schował.

Wtedy rozpadł się na części.

Członki zostały oddzielone od torsu, głowa od ramion. Kirsty zatrzasnęła za sobą drzwi. Coś

ciężkiego z łomotem uderzyło w nie zaraz potem. Pewnie jego głowa.

Schodziła ostrożnie po rozplywających się schodach. Ze ścian dobiegało ją wycie wilków, dzwony biły na trwogę. Wszędzie, w gęstniejącym jak dym powietrzu, pojawiały się duchy zranionych ptaków, pozszywanych, ale niezdolnych do lotu.

Dotarła na dół i zaczęła iść korytarzem na parterze, ale kiedy znalazła się w bezpośrednim zasięgu wolności, usłyszała, że ktoś wypowiada jej imię.

To była Julia. Na podłodze widać było rozmazaną smugę krwi. Znaczyła ona drogę przebytą przez Julię po tym, jak Frank porzucił ją półżywą.

- Kirsty!... - zawołała znowu. Był to głos pełen żalu, bólu i bezradności. Kirsty nie mogła się opanować i podążyła za nim do jadalni.

Meble wydawały się popałałe. Popiół pokrywał zwęglony dywan. Tam właśnie, na środku pobojuwiska, siedziała panna młoda. Jakimś nadludzkim wysiłkiem Julia zdołała na siebie włożyć suknię ślubną i nałożyć na głowę welon. Suknia była potarmoszona i brudna, ale Julia wyglądała na swój sposób pięknie, może częściowo poprzez fakt, że otaczała ją brzydota ruiny domu.

- Pomóż mi - powiedziała. Dopiero w tym momencie Kirsty zdała sobie sprawę, że głos nie dochodził spod woalki, ale spomiędzy nóg dziewczyny. Suknia odsłoniła teraz głowę Julii. Umieszczona była na poduszce z marszczonego jedwabiu, otoczona nadpalonymi włosami. Jak mogła mówić, skoro odłączona była od płuc i krtani?! Ale mimo to - mówiła.

- Kirsty - powiedziała błagalnym głosem i westchnęła. Głowa kołysała się na łonie Julii to w jedną, to w drugą stronę.

Kirsty mogła jej pomóc. Mogła też rzucić głową o ścianę tak, że mózg rozprysnąłby się wkoło. Nagle welon podniósł się, jakby niesiony niewidzialnymi palcami. Pod nim coś świeciło. Światło natężało się coraz bardziej. Gdy światło było już zupełnie jasne, odezwał się głos.

- Jestem Inżynierem - westchnęło światło. Nic więcej. Tylko tyle.

Światło nadal stawało się coraz silniejsze i coraz bardziej oślepiające.

Kirsty nie czekała, aż straci wzrok. Odwróciła się i skierowała z powrotem do drzwi.

Przebijała się przez ścianę ptaków. Drżała ze strachu przed oszalałymi z wściekłości wilkami.

Wyszła przez frontowe drzwi w chwili, gdy sufit zaczął się z wolna obniżać.

Powitała ją noc - czysta ciemność. Oddychała głębokimi haustami, biegnąc w stronę ulicy. Była to jej druga ucieczka z tego domu. Prosiła Boga, żeby nigdy nie było trzeciej.

Na rogu Lodovico Street odwróciła się. Dom nie poddał się siłom szalejącym wewnątrz. Stał tak spokojnie jak grób. Nie... Spokojniej niż grób.

Kiedy znów zwróciła się przed siebie, jakiś przechodzień potracił ją nagle. Zawołała zdziwiona, ale śpiesząca postać zniknęła już w półmroku budzącego się świtu. Zanim zniknął

jej z oczu, obejrzał się i zobaczyła jego świecąca jasnym światłem głowę. Był to Inżynier. Nie miała czasu, by się mu dobrze przyjrzeć; zniknął w ciemności, pozostawiając tylko odbłysek w jej oczach.

Dopiero wtedy zrozumiała cel tego zderzenia. Inżynier wcisnął w jej dłoń kostkę Lemarchanda.

Elementy jej powierzchni były nieskazitelnie połączone z sobą i wypolerowane na wysoki połysk. Nie sprawdzała tego nawet, ale była pewna, że tym razem nie tak łatwo będzie znaleźć rozwiązanie zagadki. Następny odkrywca nie będzie miał żadnych wskazówek. Czy jednak do czasu, gdy ktoś ją rozwiąże, jej właśnie powierzono misję przechowywania kostki?

Najwidoczniej tak.

Obróciła ją w dłoni. Przez króciutki moment wydawało jej się, że dostrzega zarysy duchów na lakierowanej powierzchni. Twarze Julii i Franka. Odwróciła ją znowu, szukając twarzy Rory'ego,

ale bezskutecznie. Gdziekolwiek zatem był, nie było go w kostce. Istniały jeszcze inne zagadki i łamigłówki. Być może ich rozwiązanie mogło naprowadzić ją na ślady Rory'ego. Może krzyżówka, której hasło otworzyłoby bramy raju; może laubzega, której złożenie dawało dostęp do Krainy Czarów.

Będzie jak zwykle czekała i obserwowała. Żywić będzie nadzieję, że pewnego dnia trafi w jej ręce taka łamigłówka. A jeśli nie uda się jej czegoś takiego zdobyć, nie popadnie w rozpacz. Ze strachu, że kojenie złamanych serc nie jest zadaniem, które można wykonać. Bez względu na to, ile ma się czasu. I bez względu na to, jaką mądrość się posiada.